

Deklamator Polski

ZBIÓR

POEZYI RELIGIJNYCH, HISTORYCZNYCH
I NARODOWYCH

stosowna do wygłaszania

podczas uroczystości państwowych, rodzin-
nych, oraz wycieczek letnich,

z dodaniem

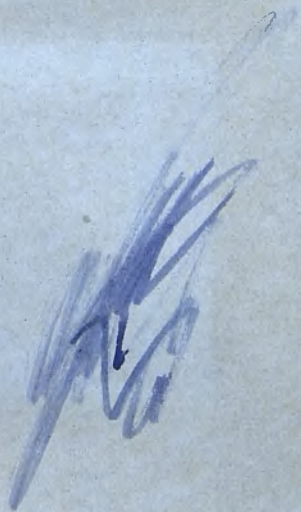
DYALOGÓW I SZTUCZEK TEATRALNYCH.



CHICAGO, ILLINOIS.

Drukiem i nakładem W. Dyniewicza
1907.





Deklamator Polski.



ZBIÓR

Poezyi Religijnych, Narodowych i Historycznych,

stósownych do wygłaszania

podczas uroczystości patryotycznych, rodzin-
nych, oraz wycieczek letnich,

— z dodaniem —

DYALOGÓW I SZTUCZEK TEATRALNYCH.



CHICAGO, ILLINOIS.
DRUKIEM I NAKŁADEM WŁ. DYNIEWICZA.

LPI 3a

LPI 3f

0 155

446374

K74/8604
20.8. 1901



POEZYJE RELIGIJNE.



Hymn do Boga.

(X. Woronicz.)

Nieogarniony światem, ojców naszych Boże!
Ty, który jeden nie znasz płóchej wieków zmiany;
Otośmy Twych ołtarzów oblegli podnoże;
Niegdy lud Tobie miły; a teraz znękany!

Więc gdy za sobą przemówić nie śmiemy;
Pozwól, niech dawne łaski Twe wspomniemy.

Już lat tysiąc niewrotnej swej dobiega drogi,
Jako się pobracieś z ojcami naszymi;
A wyrwawszy im z ręku ciosane ich bogi,
Światem prawdy obliczem błysnąłeś tej ziemi;
I dałeś poznać wśród błędu zamieci,
Żeś ty ich ojcem, a oni Twoe dzieci.

Te same świątyni szczątki, mchem porośłe siwym,
Patrzyły na Twe z ojcy naszymi przymierze;
Jak oni cię uznawszy być Bogiem prawdziwym,
Mieli ci wiernie służyć w niepoślisznej wierze;

A Ty nawzajem przyrzekłeś łaskawie,
Im przewodniczyć w wielkości i sławie.

Ty żyjesz i żyć będziesz, choć świat upadnie!
Tyś policzył do włoska na tych głowach włosy —
Nie traf ślepy, nie kolej narodami władnie;
W Twoich się ręku rodzą i czasy i losy.

Więc gdy nie możesz karać bez przyczyny,
Los nasz być musi płodem własnej winy.

Łzy nasze są świadkami błędu i poprawy;
A Ty patrzeć nie możesz na łez ludzkich zdroje,
Ni się wyprzesz Twych dzieci, Rodzicu łaskawy!
Cóż Ci zostaje? wyrzec dawne słowa Twoje:

“Kości spruchniałe! powstańcie z mogiły,
“Przywdziewajcie ducha i ciało i siły!”

Psalm do wszystkich świętych Patronów Polskich.

(Gabryela Żmichowska.)

Za ludem, który nigdy hufcami zbrojnemi
Dla marnych łupów obcej nie najeżdżał ziemi,
Który choć silny — słabszych nigdy nie ciemiężył,
A jak braci miłował tych, których zwyciężył;
Który miodem swych lasów, chlebem swojej roli;
Sam żył, i dla przechodniów miał zawsze do woli;
Za ludem cichej cnoty i poczeiwej sprawy,
Spokojnego sumienia i chwały bezkrwawej,
Módlcie się w niebie wszyscy polscy Święci,
Rólników swoich niech Bóg ma w pamięci!

Za ludem, który całą swą powieść dziejową
Ułożył w jedną tylko wyprawę krzyżową,
Co nie grobu Chrystusa, lecz Chrystusa wiary
Strzegł pilnie przed dzikimi Turki i Tatary;
Za ludem Europy tarczą i podporą,
Co ginął pod Lignicą, Sokalem, Cecorą,
Pod Chocimem i Wiedniem, co księżyc dwurogi
Na zdeptanie dał Pannie Maryi pod nogi;
Za ludem czynnej straży od plagi pogańskiej,
Który walczył w obronie wiary chrześcijańskiej
W habicie z kutej zbroi, w kapturze z przyłbicy,
Ludem mężnego serca i dzielnej prawicy —
Módlcie się w niebie wszyscy polscy Święci,
Żołnierzy swoich niech Bóg ma w pamięci!

Za ludem, który z piękną Dziewicą Królową
Niósł Litwie Ewangelii wiekuiste słowo,
Który najpierwszy w dziejach i ostatni razem
Nie długą pracą wieków, ni władzcy rozkazem,
Ale chwilą zapału, wielką chwilą — cudem
Bratnie ludy pojednał z najeźdźników ludem,
I jak w kościele wiary Sakramentu wodą,
Tak w kościele historii ochrzcił praw swobodą;
Za ludem, który krzyże wśród pogaństwa stawiał,
Za ludem, który kochał, oświecał i zbawiał,
Módlcie się w niebie wszyscy polscy Święci,
Swych apostołów niech Bóg ma w pamięci!

Za ludem, który dzisiaj nie ma pyłku ziemi
Na przybraną ojczyznę pod stopy swojemu;
Za ludem przez sąsiadów tylekroć szarpanym,
Przed stu laty zgębionym, po dziś dzień nękanym,
Za ludem biednych ojców, nieszczęśliwych matek,
Pomordowanej młodzi, i zabranych dzieci,

ziewie,
cieje,
niedoli.
zkiego losu
gł, bez głosu,
polscy Święci,
Bóg ma w pamięci.
Amen.

dlitwa kmieci.

(Anczyc.)

Wenajświętszy Ojcze nasz na niebieł
Desprzyj nas łaską Swą w każdej potrzebie,
Bo w Tobie mają ufanie biedacy,
Błogosław pracy!

Odwracaj od nas, Boże, głód straszliwy,
A urodzajem poszczęść nasze niwy,
Niech Twój rólunik nie zazna niedoli,
Błogosław roli!

Nie karz nas, Panie, deszczami zbytmiemi,
Ni zbytmi żarem nie wysuszaj ziemi,
Daj nam czas dobry i w zimie i w lecie,
Błogosław kmieciel!

Niech w naszych chatach mieszka święta zgoda,
Niech je omija ogień, zła przygoda,
A daj nam poznać pożytek oświaty,
Błogosław chaty!

Nie daj nam, Panie, upadku w oborze;
Niechaj zarazy omijają zboże,
A biednych ludzi omijają troski,
Błogosław wioski!

Tym, co nas często ratują w potrzebie,
Dobrym dziedzicom daj pomoc od Siebie,
Zlej Swą opiekę na łąki i bory,
Błogosław dwory!

Spraw, Panie, byśmy kochali się wszyscy,
Bogaci, biedni, i wielcy i niscy,
Od nienawiści ochroń nas pobudek,
Błogosław ludek!

Niech każdy człowiek wielbi Imię Twoje,
Do łask nam Swoich otwieraj podwoje!
Ty duszo moja od nocy do rana
Błogosław Pana! Amen.

Hymn na

Pokłon pa
Nad niebiosami
Gwiazdami Twoimi
Jehowie na prawie

Ninie dzień Tobie uswa
Śród Twego błysnij kości
Oto na ziemię złożone czoł
Oto śród niemej bojaźnią cze
Powstaje prorok i woła:
Uderzam organ Twej chwale,
Lecz z bóstwa idzie godne bóstwa pienie,
Śród Twego błysnij kościoła!
I spuść anielskie wejście! —
Duchy me bóstwem zapalę,
Głosu mi otwórz strumienie!

A zagrzmię piersią, jak Cherubiny
Zagrzmią świata na skonanie,
Gdy proch, zapadły w wieków otchłanie,
Ze snu nicości wybiją:
Takim grzmotem twoje chluby,
Gdzie piekło, gdzie gwiazdy świecą,
Nieskończoność niech oblecą,
Wieczność przeżyją!

A któż to wschodzi? Wschodzi na Syon dziewica
Jak ranek z morskiej kąpieli
I jutrznia Maryi lica;
Śnieży się obłok, słońce z ukosa
Smugiem złota po nim strzeli;
Taka na śniegu, co szaty bieli,
Powiewnego jasność włosa.

Pojrzał Jehowa i w niej upodobał sobie,
Pękły niebios zwierciadła,
Biała gołąbka spadła,
I nad Syonem w równi trzyma skrzydła obie,
I srebrzystej pierzem tęczy
Niebianki skronie uwieńczy.

Grom, błyskawica!
Stań się, stało;
Matką Dziewica,
Bóg ciało!

do Bogarodzicy.

(Słowacki.)

Waryanty podług wydania 1831 r.: "Szpieg i poeta."

Bogarodzico! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża,
To ojców naszych śpiew,
Wolności błyszczy zorza,
Wolności błyszczy krzew,
Wolności bije dzwon.
Bogarodzico!
Wolnego ludu śpiew,
Zanieś przed Boga tron.
Podnieśmy głos rycerze,
Niech grzmia wolności śpiewy,
Wstrząsną się Moskwy wieże,
Wolności pieniem wzruszę
Zimne granity Newy;
I tam są ludzie, i tam mają duszę. —
Noc była. — Orzeł dwugłowy
Dumał na szczycie gmachu
I w szponach niósł okowy.
Słuchajcie, zagrzmiął śpiże,
Zagrzmiął.... i ptak w przestrachu
Uleciał nad świątyn krzyże
Patrzeć na wolne narody.
Szukał cienia.... I w ciemność uleciał północy.
O wstyd wam! wstyd wam Litwini,
Jeśli w Gedymina grodzie
Odpocznie ptak zakrwawiony.
Głos cię pokoleń obwini,
Jeśli nie skruszysz, narodzie
Krwia carów złanej korony.
Do broni, bracia! do broni!
Wolność z upodlenia toni,
Z popiołów, Fenix nowy,
Powstał lud, błogosław Panie!
Niech brzmi pieśń, jak w dzień godowy.
Bogarodzica! Dziewico!
Słuchaj nas Matko Boża,
To ojców naszych śpiew.
Wolności błyszczy zorza,
Wolności bije dzwon
I wolna płynie krew.
Bogarodzico!

Wolnego ludu krew
Zanieś przed Boga tron,
Wam się chylić przez obcemi,
Nam we własnych ufać siłach;
Będziem żyć we własnej ziemi,
Lub we własnych spać mogiłach.

Psalm dobrej woli.

(Kraśiński.)

— Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie,
Z skarbu wiecznego miłościwej łaski!
Tysiącletnie dałeś panowanie,
Ubrane w śnieżne, przedchrześcijańskie blaski
Nadeuropejskiej cnoty! Twego Syna
Dałeś nam pierwszym w świeckie wpoić dzieje —
Z Polski — ojczyzna w przeszłości jedyna,
Co z piersi miłość a nie rozbój sieje;
Co mieczem tylko świat ewanieliczy,
Gardzi grabieżą — — nie garnie zdobyć;
Spaja się z braćmi, a dumnych roztrąca,
Lecz i tych jeszcze w jawnym świetle słońca!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami,
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

Ty, co w dziejowych odmetów rozruchu
Wściekłych piorunem przybijasz do darni —
A zacnych zbawiasz — bo zacni z męczarni,
Błagamy Ciebie, Ojczy, Synu, Duchu,
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże —
A światu mężcy. My, co się nie boim
Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,
Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,
Co za nas Twego doprasza się słuchu,
My zawieszeni pomiędzy otchłanią
A Twem królestwem, Ojczy, Synu, Duchu,
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,
Skronią już w wiosen twych kapani dmuchu,
Czasów pryśniętych otoczeni kołem
I państw ginących — Ojczy, Synu, Duchu,

Błagamy Ciebie, stwórz w nas serce czyste —
Odnów w nas zmysły, z dusz wypleń kłakole
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste
Śród dóbr twych dobro — daj nam dobrą wolę!
Teraz, gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w Niebie
Po nad lat zbiegłych dwoma tysiącami
Daj nam, o Panie, świętymi czynami
Śród sądu tego, samych wskrzesić siebie!

Do Anioła Stróża.

(Lenartowicz.)

Aniele, strózu duszy
Z pokorą błagam Cię!
Gdy mnie myśl ziemską wzruszy,
Ach, nie opuszczaj mnie!

Niech pod skrzydłami Twemi
Mych marzeń pierzchnie rój,
Ach wspieraj mię na ziemi,
Aniele, strózu mój!

Jak błądy promyczek świeci
Twój obraz w nieba tle,
Ku Tobie duch mój leci
Aniele, strózu mój!

Ty mi radami swemi
Pociechy zlewasz zdroj,
Ach! wspieraj mię na ziemi
Aniele, strózu mój!

Dla Ciebie myśli moje,
I me najlepsze dni,
Gdy czuję tchnienie Twoje
Z radości serce drży.

Niech chęci moje z Twojami
Uplotą jeden zwój,
Ach wspieraj mnie na ziemi
Aniele, strózu mój!

O wielkości Boga.

(Jan Kochanowski.)

Czego chcesz od nas, Panie, za Twe hojne dary?
Czego za dobrodziejstwa, którym nie masz miary?

Kościół Cię nie ogarnie, wszędy pełno Ciebie,
I w otchłaniach i w morzu, na ziemi, na niebie.
Złota też, wiem, nie pragniesz, bo to wszystko Twoje,
Cokolwiek na tym świecie człowiek mieni swoje,
Wdzięcznem Cię tedy sercem, Panie! wyznawamy,
Bo nad Cię przystojniejszej ofiary nie mamy.
Tyś Pan wszystkiego świata, Tyś niebo zbudował
I złotemi gwiazdami ślicznieś uhaftował.
Tyś fundament założył nieobeszłej ziemi,
I przykryłeś jej nagość ziół rozlicznemi.
Za Twojem rozkazaniem w brzegach morze stoi,
A zamierzonych granic przekroczyć się boi,
Rzeki wód nieprzebranych wielką hojność mają,
Biały dzień a noc ciemna swoje czasy mają,
Tobie k'woli rozliczne kwiatki wiosna rodzi,
Tobie k'woli w kłosianym wieńcu lato chodzi,
Wino jesień i jabłka rozmaite dawa,
Potem do gotowego gnuśna zima wstawa.
Z Twej łaski nocna rosa na mdłe ziół padnie,
A zagorzałe zboża deszcz ożywia snadnie,
Z Twoich rąk wszelkie zwierzę patrzy swej żywności
A Ty każdego żywisz z Twej szczodroblivosti.
Bądź na wieki pochwalon, nieśmiertelny Panie!
Twoja łaska, Twa dobroć nigdy nie ustanie,
Chowaj nas, póki raczysz, na tej niskiej ziemi,
Jedno niech zawsze będziem pod skrzydłami Twemi.

Modlitwa do Boga.

(J. Słowacki.)

We łzach, Panie, ręce podnosimy do Ciebie,
Odpuść nam nasze winy!
Niech będzie Twoja wola na ziemi i w niebie;
Przez nas czyn Twoje czyni!
Niechaj się Twoje imię na wysokościach święci,
Niech się święci trzy razy!
Abyśmy już nie byli z ksiąg żywota wyjęci
Dla naszych ran i zmazy.
Wspomnij, cośmy cierpieli pod chłostą tych mocarzy,
A ducha-śmy nie dali:
Nie poznaliby ojce naszych bolesnych twarzy,
Gdyby z grobowca wstali.
Gdyśmy cierpieli mocno, wołaliśmy do góry,
Jak gołębie: "nie ciśnij!"
Duchy, jak gołębice, rozleciały się w chmury;
Zatrwóż! niech wrócą!... błysnij!

W tej błyskawicy, Panie, ujrzym się, i z daleka
Brat pozna swego brata,
I wejdzie nieśmiertelność jako Anioł w człowieka,
I będziem ludem świata!.....

Kolenda.

(*Syrokomla.*)

My przed Wami dziś stajem
Staroświeckim zwyczajem,
W Nowy Rok niesiem piosnkę w ofierze;
Gdy nadzieją duch rośnie,
Kolendujem radośnie,
Posłuchajcie nas szczerze.

Narodzony Syn Boży
Niech swe serce otworzy,
Kędy skarb nieprzebrany, bogaty;
Niechaj gwiazda Trzech Króli
Promieniami otuli
Wasze głowy i chaty.

Częstochowska Marya
Waszym modłom niech sprzyja,
W dobry czas niech ją prośba poruszy;
Niech się krzewią szczęśliwie
Zboża na Waszej niwie,
A cnoty w Waszej duszy.

Po nad miasta, nad wioski,
Niechaj czuwa duch Boski,
Dary łask niech rozsypie w narodzie!
Czy zabawa czy praca
Niech Wam serca obraca
Ku miłości i zgodzie.

Krówka Jaremy.

(*X. I. Hołowiński.*)

Wieczór się przybrał w szkarłatu rumieniec,
Kiedy szedł z targu Jarema młodzieniec;
A był wesoły, wzięła go swawola
Popędzać krówkę wracającą z pola;
I tak się długo z biedną krówką bawił,
Zagnał do lasu i tam ją zostawił.

Nazajutrz rankiem powraca do miasta,
Widzi, że płacze na prodze niewiasta;
Tknięty litością pyta o przyczynę. —
“Ach, zwierz mi,” rzekła, “zjadł krówkę jedyne,
“Gdy się błakała w lesie nocną porą.
“I mnie i dzieci żywiła pięcioro,
“A teraz głodem biedna z dziećmi zginę.” —
— “Jakiejże maści była twoja krowa?”
— “Z łysiną białą sama całkiem płowa.” —
Poznał Jarema, że to on oddalił
Wczoraj na drodze napotkaną krowę:
Kamień zgryzoty na serce się zwałił,
Zamilkł, westchnawszy i opuścił wdowę.
Przeszedł czas długi, z czasem troska mija,
Bo nowa bieda dawniejszą zabija.

W cudnowskiej puszczy zbłąkał się Jarema,
Szedł dniem, wieczorem, szedł i nocną dobą,
Nie spotkał człeka i gospody nie ma,
A las i niebo tylko ma przed sobą.
Czasami smutno drzewa zaszumiały,
Albo ptak nocny pojęczał przez chwilę,
Czasem się straszne pokusy ozwały,
Czasami było głucho jak w mogile.
Gdy tak strudzony szuka przytuliska,
Patrzy, aż zdala światło jakieś błyska;
Zbliżył się, widzi ludzi dzikiej twarzy,
Na którym w kotle jedzenie się warzy,
A na ramionach strzelba im połyska.
Chociaż pomyślał, że zbójcy być mogą,
I w sercu uczuł trochę niepokoju,
Lecz się nie lęka ubogi rozboju,
Przeto zmęczony i głodem i drogą
Przystąpił do nich w pokornej postawie,
Prosząc by nocleg mógł przepędzić z niemi:
Chętnie przyjęli, on usiadł na ziemi,
I zaproszony wziął udział w ich stawie,
A potem z trudu usnął na murawie.
Ale go nagle wrzawa ze snu budzi:
Widzi rozpierzchną swą drużynę nocną,
A siebie wpośród obcych zbrojnych ludzi,
Którzy sznurami krępują go mocno,
Bo właśnie wtedy rząd uwiadomiony,
Gdzie była banda Pawluka Watażki,
Wyprawił poczet żołnierzy w te strony,
Ale umknęły te ostrożne ptaszki;
Tylko Jarema był przyprowadzony.
Choć rzecz wyjaśnia, ale nie przekona,
Bo podejrzenie potępia go z góry:
Bito, męczono, brano na tortury,

Jego niewinność uporem ochrzczona,
Tak mu upłynął rok cały w niewoli,
Wielkie ponosił nędze i katusze.
— Boże! mój Boże! — wołał w swej niedoli,
Za cóż niewinnie biedny cierpieć muszę? —
Gdy tak w cierpieniach i skargach czas trawił,
Jakiś mu starzec we śnie się pojawił,
I łagodnemi tak przemówił słowa:
— “Za co obwiniasz o niesłuszność nieba,
“Czy zapomniałeś krówkę biednej wdowy?
“Wiedź, że łyż cudze krwią odkupić trzeba;
“Bóg choć nie skory, lecz w sądzie surowy.
“Jużes dość cierpiał za krzywdę działatana,
“Wrócisz swobodny do dzieci i żony.” —
Jakoż w tym czasie zbójców pochwymano,
A ich zeznaniem został uwolniony.

I my w nieszczęściach choć bez naszej winy,
Nim się uskarżać na Boga pocniemy,
Przepatrzmy przeszłe żywota godziny,
A znajdziem tam pewno krówkę Jaremy.

Wiarę ojców czcic należy.

(R. Berwiński.)

Głód, powietrze, ogień, woda
I wszelaka zła przygoda
Będzie temu, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!
Zwierz drapieżny do obory,
Między stada czarne mory
Wejdą temu, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!
Chorobą się rozniemoże,
I boleści twarde łoża
Zwiąże tego, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!
A gdy skona, garści ziemi,
Gdzieby spoczął kośćmi swemi,
Nie dostanie, ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!
Marnie zginie! świat rozmiecie
Prochy jego po wszym świecie;
Marnie zginie! ktoby starą
Ojców swoich wzgardził wiarą!

Szanujcie dzień święty.

(K. Brodziński.)

W obory z pola spędzajcie trzody,
Zawieście kosy na ścianie,
Młynarze dzisiaj zastawcie wody,
Niech w polu praca ustanie.
Mówił nam pleban, że już godzina
Modlitwy, co ducha wznosi;
Siostra za brata, matka za syna
W kościółku Boga niech prosi.
Gałęzie z lipy tnijcie młodzieńce,
Dzieci pospieszcie na kwiaty,
Córki w kwietnikach splecajcie wieńce,
Przywdziejcie świąteczne szaty.
Ustrojmy wrota, złociste ściany,
I żółte zapalmy świece,
Niech ołtarz będzie wstęgą ubrany,
Niech liść umai świątnice.
Usłyszym dzisiaj kazanie nowe,
Z plebanem będziemy nucili,
Bo kto przed Bogiem ukorzy głowę,
Ten jej przed twogą nie schyli.

Modlitwa za polskie dziewice.

(Władysław Bełza.)

Do Twoich świętych stóp,
O! Matko z Jasnej-góry,
Korny spełniając ślub,
Ściela się polskie córy;
I słysząc — jak głos dzwonu
Z wyniosłych buja wież,
Z nim do Twojego tronu
Wołają: — strzeż je, strzeż! —
Dziś na pokusę wszelką
Prowadzi wielu świat....
O! Boża Rodzicielko,
Skryj je pod rąbkiem szat!
Niech o nie się rozbija
Bezsilny burzy gniew!
Twem berłem jest lilija,
Ostoń niem polny krzew.

Niech te dziewczeczki młode
Strzeże ich Anioł-Stróż,
Co rozkosz i pogodę
Do mężkich wnoszą dusz.
A Ty, na niebios chwałę,
Pod płaszczy je złoty tul,
Niech wciąż niewinne, białe,
Kwitną wśród naszych pól.

Pan Jezus chodzi po świecie.

(*Asnyk*).

O! nie rozpaczaj tak dziecię,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie
I zrywa na łąkach kwiatki.

Chodzi od wioski do wioski
I z kwiatów wianeczki zwią —
Szczęśliwym uśmiech ojcowski
Do chaty rzuca i — mija.

Lecz gdy sierotkę napotka
W chacie zwałonej od gromu,
Natenczas zjawia się słodka
Twarz jego na progach domu.

I boskie wyciąga dłonie,
Aby przytulić sierotę,
Niesie jej blaski i wonie
Kwiatki niebieskie i złote.

A każdy kwiatek niebieski,
Którym Pan Jezus obdarzy,
Osusza sieroce łezki
Wejrzeniem matczynej twarzy.

I w sercu nabrzmiałem łzami
Wciąż pączki wypuszcza świeże....
Jasnemi niebios barwami
Duszę sieroty ubierze.

A każdy kwiatuszek złoty
W przewodnią gwiazdę się zmienia,
I lśni nad czołem sieroty
Iskrą czystego natchnienia.

Choć pójdzie drogą boleści —
Choć nie zna rodzinnej strzechy —
W swych piersiach dziedzictwo mieści
Pełne niebiańskiej pociechy.

Więc nie rozpaczaj tak dziecko,
Że nie masz ojca i matki!
Pan Jezus chodzi po świecie,
I zrywa na łąkach kwiatki!

Grosz wdowi.

(Jachowicz.)

W miejscu publicznem była skarbonka przybita,
Niejeden obojętnie jej napis przeczyta:

“Ofiara dla ubogich” — potem się odwróci
I grosza nie wrzuci.

Długo, długo, próżną była,
Aż uboga kobieta pierwszy grosz wrzuciła.
Zaraz jakiś pan bogaty

Rzucił dukaty.

Mniej bogatego wzruszył wdzięk tej cnoty,
Wkłada złoty.

Znów jakiegoś przechodnia skłania ta ofiara,
Rzuca talara.

Zkądże ta hojność? Cnoty czarująca władza
Do grosza złoto sprowadza.

Dotądby może jeszcze puszka próżną stała,
Gdyby małej ofiary uboga nie dała.

Piękny przykład cuda działa.



II. POEZYJE PATRYOTYCZNE.



Wiersz, który każdy Polak i Polka na pamięć umieć powinni.

(*Ign. Krasicki.*)

Święta miłości kochanej Ojczyzny,
Czują cię tylko umysły pocziwe;
Dla ciebie zjadłe smakują trucizny,
Dla ciebie pęta, więzy niezelżywe,
Kształcisz kalectwo przez chwalebne blizny,
Gnieźdźsz w umyśle rozkosze prawdziwe,
Był cię tylko można wspomódz, wspierać,
Nie żał żyć w nędzy, nie żał i umierać.

Giermek.

(*Morawski.*)

Smutnie w Polskiej było ziemi,
Smutne wojsko i lud smutny;
Wszystko siły przygniótł swemi,
Podbił, zajął Szwed okrutny.

W długim cieniu drzew lipowych
Spoczywały zbite szyki,
Przy ogniskach obozowych
Stały nieme wojownicy.

Gdy w tem siwym strojny włosem,
Którym lekki wiatr powiewał,
Wieszcz się znany ozwał głosem,
Trącił w lutnię i tak śpiewał:

“Mile gadka dawnej treści

“Brzmi dla ucha, w serce wpływa;

“W starych czasów to powieści,

“Stara dzielność się ukrywa.

“Był czas, gdyśmy za przedmurze,
“Za tarcz ludom, światu stali;
“Był czas, gdyśmy wschodnie burze
“Piersią naszą odpierali.

“Lasem polskich dzid, narody
“Zasłanianie od podboju,
“Wynucały pieśń swobody,
“Pieśń miłości, pieśń pokoju.

“Naszym hymnem był szczęk broni,
“Trąb wojennych dzikie dźwięki,
“Wrzawa bitew — grzmot pogoni
“I rozległe rannych jęki.”

“Złoci wieczór łan Podola,
“Ciagną wojska, tabor, wozy,
“Tętnią całe lasy, pola,
“Stoją groźne dwa obozy.

“Z jednej strony sztandar wiary,
“Siwy hetman, młodzież dziarska,
“Z drugiej wściekłość, krew, pożary
“I straszliwa czerń tatarska.

“Jutro, jutro, z rannym brzaskiem
“Dzień gonitwy, dzień rozprawy,
“Słońce krwawym zaszło blaskiem,
“Bój to będzie straszny, krwawy!

“Ledwie pierwszy mrok zapada,
“Polski hetman kord przypasze,
“Z młodym giermkiem na koń siada,
“I objeżdża czaty nasze.

“Jedzie — patrzy w obóz dziczy,
“Słucha gwaru, rżenia koni,
“Pyta, zważa — ognie liczy,
“I już w myśli łamię — goni.

“O, nie ciesz się wodzu stary,
“Zmienne wojny są koleje,
“Nie tak łatwo to z Tatarzy,
“Słuchaj! patrzaj, co się dzieje!

“Hura! hura! pędzi horda,
“Nocny napad w obóz leci,
“Giermek za broń, wódz do korda,
“Na koń! woła, na koń dzieci!

"Spieszą — biegną do swych szyków,
"Wpółśród nocnych pędzą cieni;
"Gdy wtem z grzmotem nowych krzyków
"Zewsząd czernią otoczeni,

"Tną i walczą na przebicie,
"Rąbie hetman, giermek łamie;
"Całą młodość, ogień, życie
"W wojujące przelał ramie.

"I już słyszą, słyszą w dali,
"Jak nadbiega polska wiara;
"Ale już ich nie ocali,
"Już nie wyrwie z rąk Tatara.

"Wzięty giermek, hetman wzięty,
"Krzyczy, huczy, motłoch dziki,
"Bucha gniewem Han zacięty,
"Patrząc na swe niewolniki.

"Wre i zemstą ryczy srogą,
"Każe jednem skuć żelazem
"Nogę giermka z wodza nogą,
"I tak obu więzić razem.

"Smutnie wzrok ich wzniosł się, zwrócił
"Na wysokie gwiazd sklepienia;
"Ale naczóby wam nucił
"Ich boleści, ich marzenia?

"O, kto nigdy pęt nie nosił,
"Kto nie jęczał w wrogów mocy,
"Strawy swojej łą nie rosił,
"Nie przetęsknił długich nocy;

"Kto w półdzikim, podłym tłumie
"Nie włókł ciężkich lat niedoli;
"Nie, nie pojmie, nie zrozumie,
"Jak jest gorzkim chleb niewoli!"

I na chwilę, marząc smutnie,
Wieszcz ucicha... łzę wylewa,
I znów nagle trąca w lutnię,
I tak dalej gra i śpiewa:

"Zasnął hetman siwobrody,
"Zasnął, jakby między swemi;
"Nie śpi, czuwa giermek młody,
"Długo o swej duma ziemi.

- "I łza tryska mu z źrenicy,
"Żal i rozpacz serce tłoczy;
"Gdy wtem nagle w swej ciemnicy
"Zapomniany topór zoczy.
- "Patrzy, дума, drży i marzy,
"Serce szczytnym ogniem płonie,
"Wielki w duszy zamiar waży,
"Topór w obie chwyta dłonie;
- "I podnosi rękę śmiałą,
"Mężnie ku swym pętom zwróci,
"Tnie, odcina nogę całą,
"I hetmana swego cuci.
- "Wolnyś," rzecze, "straż zaspana,
"Uchodź, ocal twą krainę,
"Spiesz i pobij wojsko Hana,
"Ja z radością tutaj zginę."
- "Powstał hetman i wzniosł dłonie,
"Rzewnemi się łzami zalał,
"Żegnał, Boskiej zdał obronie,
"Ścisnął, uszedł i ocalał.
- "I straż nagle z snu się zrywa,
"Wieść ucieczki wodza szerzy,
"I sam wreszcie Han przybywa,
"I zaledwie oczom wierzy.
- "Długo, długo, wzrok swój wryty
"W śmiałych topi mu źrenicach,
"Stoi jakby gromem zbity,
"Po dostojnych czyta licach.
- "I odpycha wszystkie stráže,
"Cnota dzikość zwyciężyła;
"Każe leczyć, darzyć każe,
"I do Łachów go odsyła.
- "W świetnem dworzan, wodzów gronie,
"Szkarłatnemi szaty odzian,
"Siadł król Polski na swym tronie,
"Wdzięczny przed nim stanął młodzian.
- "W miejscu nogi prosta kula
"Ujmującą postać wspiera,
"I dwór cały się rozczula,
"Z szmerem dziwu nań spoziera.

"I dwaj wiodą go rycerze,
"Kornie przed tron przystępuje;
"Król z wezgłowia szczerbiec bierze,
"I rycerzem go pasuje. —

"Gdy wtem w pośród wodzów koła
"Hetman nogę niesie złotą;
"— Oto herb twój! — król zawoła,
"Wysłużony twoją cnotą.

"I porywa dłoń rycerza,
"Wśród okrzyków ludu wiedzie,
"I przed ołtarz Pański zmierza,
"I sam klęka z nim na przedzie.

"O blask, chwałę swych orężów,
"Korne w niebo dłonie wznosi
"I o więcej takich mężów
"Dla ojczyzny swojej prosi."

Tu dźwięk lutni mdłał, upadał,
Coraz głuchszem cichła brzmieniem;
A wieszcz w duszach śledził, badał,
Co w nich swoim wzbudził pieniem.

Garść ziemi.

I.

On rzucił ojców zagrody,
By w świat wyruszyć nieznany
I między obce narody
Ponieść niewoli kajdany;
Rzucił tłum bratniej drużyny
I czary łąki kwiecistej,
Wziął tylko klejnot jedyny:
Garść czarnej ziemi ojczystej.....

II.

I płakał łzami tęsknoty,
Rzucając pola rodzinne
I matki tkliwe pieszczoty,
Zabawy dziecka niewinne;
Wszystko — co w ziemi miał bratnie
Znikło w przeszłości ciernistej,
Wziął tylko klejnot ostatni:
Garść czarnej ziemi ojczystej.....

III.

Burze mu przeszły nad głową
I nowe czucia przez duszę....
On zawsze myślał cierniową
Rozkrwawiał wspomnień katusze....
Bo kiedy w chwilach natchnienia
Biegł w marzeń świat promienisty,
Czuł w sercu ciężar kamienia —
Garść czarnej ziemi ojczystej.....

IV.

I przebył lądy i morza,
Widział świat cudów nieznany,
Lecz siny błękit przestworza
I ciche ojców kurhany
Znów w nim tęsknotę budziły
Za rajem łąki kwiecistej,
Zkąd wziął, z najdroższej mogiły,
Garść czarnej ziemi ojczystej.....

V.

A gdy już śmierci godzina
Dni wędrownika pocięła
I zimna, obca mogiła,
W łono go swoje przyjęła;
Do grobu bratniej drużyny,
Nad brzegiem góry śnieżystej,
Dano mu klejnot jedyny —
Garść czarnej ziemi ojczystej.....

Pogrzeb Kościuszki.

(Kornel Ujejski.)

Biją razem wszystkie dzwony jak ludowe głosy,
Jęczą, kwilą, modlitwami rwą się przez niebiosy,
A nad niemi dzwon Zygmunta, żałość górująca,
Wszystkie chłonie, — a to niby ojczyzna płacząca.
W cudzych stronach na tułactwie wiódł żywot boleści
Jasnowidza nie zwabiły uwodzące wieści,
Aż dopiero teraz wraca na ojczyste łąny,
Ale w trumnie! wraca w trumnie hetman ukochany.
Towarzysze już hetmana na ramionach niosą,
Chyłą oczy, co żałosną zwilżyły się rosą,

Dalej pany i kapłany, wojska jeno trocha,
A hen z tyłu chmura chłopstwa — to najgłośniejsz szlocha,
Toć to dzieci są hetmańskie, szlochają jak dzieci!
W tłumie kosa racławicka podniesiona świeci.
To ich sztandar! w koło niego tłum jęcząc, wykrzyka:
"Koso nasza, choć z daleka patrz na Naczelnika!"
Oj panowie! zróbcie miejsce, niech się zbliżą chłopi,
Niech tę trumnę miłowaną ich iza szczerą skropi,
Bo ten hetman nie hołdował pysze i potędze,
Bo on stawał w ich szeregu, chodził w ich siermiedze.

*

I na zamek między królów ponieśli hetmana,
I rozwarła się świątynia, złotem nabijana,
U jej progu stanął Kmita i "co zacz on?" pyta;
Swoj! swój! świętszy od waszecz, — puszczaj mości Kmita.
Zaruszały się posagi, królowie umarli
Na kamiennych sarkofagach na dłoniach się wsparli,
I ciekawie każdy patrzy, stare sny ucisza,
I spojrzeniem wniebowziętem wita towarzysza.
Długobrody król nad innych wyżej z łoża wstaje,
I przemawia: "Ja król chłopków, rękę ci podaje,
Wzdy obydwu my uczcili zapomniane sługi
I kochali lud gołębi, — ja pierwszy, ty drugi."
Już hetmana wyniesiono pod namiot rozpięty,
Gdy ozwał się słodkim głosem doń Stanisław święty:
"Snać ty o mnie zapomniałeś, o polskim patronie,
Jeżeli prawda, że krzyknałeś raz "Finis Poloniae!"
Na to hetman: "O mój ojczel choć sercem przełękłem
Zanurzyłem się w boleściach, tych słów nie wyrzekłem!
Raczej z mojej biednej piersi to ojczyzna wzięta,
Z czego wkrótce pieśń urosła: "Jeszcze nie zginęła!"
Przy ołtarzu arcypasterz i śpiewak Sybilli
Wznosi ręce, każda głowa na piersi się chyli,
A w dziedzińcu korni chłopi o głąz biją czołem,
Oni, co gdy kościół pełny, stoją przed kościołem.
Już skończono mszę żałobną; w chłodne ziemi łożo
W miejsce gdzie król chciał spoczywać, hetmana spuszczo.

.....
.....
Ten co z pługiem może chodził w ubóstwie za młodu!
Spoczął w króla katakombie — hetman, król narodu!
A gdy z nim drzwi zaparli, rygle zasunęli,
Chłopstwo wniosło krzyk rozpacz: "Och, już go zamknęli."
"Och, już wzięli Naczelnika, och, już ty nie naszy,
Ciemność sklepień, blask pożłoty, serca nasze straszy;
Tobie królu towarzystwem i pany w sobolach,
Lepiej tobie z nami leżeć na zielonych polach.

Na zielonem, czystem polu, na zielonej łące
Każdy ptak by ciebie witał i słońce wschodzące,
Śród upałów twej mogile cień dałyby Tatry,
Z dobrą wieścią od ojczyzny latałyby wiatry.
Z białej Wisły mgła powstaje, w górze świeci słońko,
My czapkami tobie kłonim, z kosą idziem łąką,
Tybys cieszył się z jej brzęku, choć śpiący i niemy;
Cóż dopiero kiedy kosy na sztorc nabijemy!
Jeżeli Pan Bóg zagniewany skryje się na niebie,
Łatwiej znaleźć twą mogiłę, w pomoc wezwać ciebie,
Trudne pisma na nagrobkach, mało kto z nas czyta,
Dziecko wskaże na mogiłę: "A czyją to?" — spyta.
Tak lud żali się i marzy; urywane słowa
Zwolna cichną, lud w cichości jakiś zamiar knowa;
Zamknął uszy na głos świata, własnej głębi słucha
Nagle spłonał, krzyczy, biegnie — dobył iskry z ducha.
I mogiłę wnieborosłą sypie lud serdeczny,
Próżna-ż ona! cóż w nią schować na spoczynek wieczny?
Kości w polskim relikwiarzu złożył wódz-jasnowidz —
Lud zatroskał się i myśli..... "Hej, do Maciejowic!
Starzy ludzie pamiętają to miejsce śród błonia,
Kędy ranny i omdlały hetman upadł z konia,
Więc tę ziemię krwią przesiąkną bierzcie jak sakrament,
Złóćcie w urnę i mogile dajcie na fundament."
Tak zrobili. Z blaskiem zorzy do ofiarnej pracy
Biegna pany i kapłany, chłopcy i wojacy,
Wszyscy razem, wszyscy równi, zmieszano a tłumnie,
Jak przykazał duch miłości, pracują rozumnie.
Miłość wiąże i umacnia, — praca idzie chyżej,
A krakowska cała ziemia woła: "Wyżej! wyżej!
Niech mogiła wszystkim oczom zaświeci donośnie."
I mogiła Bogu miła rośnie, rośnie, rośnie....
I urosła; już ją zewsząd widzi kraj daleki,
Każda chata na nią patrzy. Od wieku po wieki
Stać jej w straży będą Miłość i Wiara — dwie służki;
Wawel runie, a zostanie: Mogiła Kościuszki.

Katedra na Wawelu.

1.

Cisza w Wawelskiej katedrze —
Zmrok osiadł sklepień załomy,
Nikt się nie modli — nie żebrze —
Organ śpi, jak w chmurze gromy.
Wiatr tylko czasem zajęczy,
Lub ptak po szybach zabrzęczy.

2.

Rzędem kolumny ponure
Jedne za drugiem dążą,
Jak dęby wzrastają w górę,
Konary w arkady wiążą;
I jak dziewica z młodzieńcem,
Łączą się sklepienia wieńcem. —

3.

Tutaj śpią króle — mocarze —
Poigrał czas z ich potęgą, —
W proch chobrze rozsypał twarze,
I pleśni opasał wstęgą;
A w ich zbutwiałej prawicy
Rdzewieje klinga szablisy.

4.

Po strunach lutni uderzę,
Z spruchniałej wzbudzę ich trumny,
W załomki sklepień, kolumny,
Pieśń pełną, brzmiącą, rozszerzę.
Za każdym podzwiękiem pieśni,
Zbudzą się i wstaną z pleśni! —

5.

Któż to w kamiennej zbroicy
Strzeże przysionków kościoła?
Dotknę się twardego czoła,
Niech życie błysnie w źrenicy;
Niech marmur opadnie z ciała,
W twarzy rumieniec zapala! —

6.

Ożył — i któż to? — to Kmita*)
Szerokiej Polski strażnica, —
Z pod hełmu laur mu wykwiła,
Przy boku szczeka szablisy.
Idzie — krok jego tak dumny,
Że drżą ciosowe kolumny!

Po prawej stronie wielkich drzwi w katedrze krakowskiej, znajduje się portret posąg Piotra Kmity, zmarłego w r. 1553, — pięknej rzeźby, w postawie człowieka, chcącego ruszyć się z miejsca i postąpić. Nad głowę ma napis: *Os, humerosq. Kmitae magni hospes vides quo non praestantior alter Sarmata corpore ac mente fuit.* — Był on z rodziny Kmitów ostatni.

7.

O! dalej, chodź ze mną Kmito,
Chodź ze mną, ja tobie wskażę
Wszystkie męczeństwa ołtarze,
Które krwią naszą obmyto.
Pewnie krząk naszych łańcuchów
Odbił się w krainie duchów! —

8.

Chodź ze mną — za każdym krokiem
Potracisz ziomek szkielety,
Za każdym krokiem niestety!
Krew i łzy płyną potokiem.
Twarze twych potomków zbladły,
Grody w zwałiska zapadły. —

9.

Słyszysz jak Wisła się skarży,
Jak smutnie po skałach szumi?
Ja widzę boleść w twojej twarzy,
Daremnie ją duma tłumy.
O! nie oszczędzaj łzy jednej,
Dla naszej ojczyzny biednej!....

10.

Czy słyszysz Kmito akordy,
Odgrane na wieków rogach?
Po grodach szczekają kordy, —
Sztandary na Dniepru Progach,
Sztandary za Karpatami,
Szumią tryumfu pieśniami!

11.

To wielki polonez duchów, —
Patrz! — idą w szmatach godowych;
Z ich spojrzeń i męskich ruchów,
Poznasz twych braci grobowych.
Odbijanego! — zagrali
Od czarnych wód aż do Sali!

12.

To święty taniec pamiątek! —
Pomiędzy dwóch mórz granicą, —
Muzyką — wieków dziesiątek,
Miłość ojczyzny — dziewicą;
A szablą z Rodzicą Boga,
Takt daje na karkach wroga!

13.

To syny wieków dziesięciu,
To nasi wielcy przodkowie;
Znani wśród boju po cięciu,
W obradach ludu po głowie!
Patrzaj, jak w pary się wiążą,
I koło swych grobów krążą. —

14.

Na chwilę przybrali ciało,
Patrzą oczyma łzawemi; —
Ziemie żalali swą chwałą,
Ich dzieciom zabrakło ziemi!
Zabrzmieli pieśnią żałoby,
W stare pokładli się groby!

15.

Z obszernej niegdyś dzielnicy
Został im Wawel — na groby!....
A wnukom — szata żałoby —
Za chaty — dach szubienicy,
Mroźne Sybiru podmuchy,
Lub złote kopalń pieluchy.

Polskiemu dziecku.

(M. Sokolnicka.)

Dziecino mała, u kolan twej matki
Ucz się pacierza w ojczystej swej mowie,
Bo ponad tobą niewidome świadki,
Z błękitów nieba patrzą się ojcowie.

Nawet spokoju nie mieliby w niebie,
Słyszac twe modły w języku nieznanym,
Na zawsze by się zaparli tam ciebie,
Skargę na ciebie zanieśli przed Panem.

Pamiętaj dziecię, że ty już w spuściznie,
Z samych rąk Boga klejnot ten dostała,
Czystym go oddaj matce twej ojczyźnie,
Skonaj, nim byś go wydrzeć z serca dała.

O dziecie moje, ty na polskiej księdze
Ucz się litery składać w wolnej chwili,
Czy w strojnej szacie, czy w prostej siermiędze
Znaj język, którym dziadowie mówili.



Znaj i ukochaj! nad wszystkie piękności
Co błyszczą tobie blaskami zwodnemi,
Kochaj pamiątki minionej wielkości,
Groby twych braci i skarby twej ziemi.

Niechaj najmiłszą będzie ci zabawa
O dziejach dawnych słuchać opowieści,
O tych pokrytych nieprzebrzmiałą sławą,
O dniach wesela — chluby i boleści.

O dziecię moje, jeżeli na wieki
Miłość ojczyzny serce twe zachowa,
To mimo przeszkód jak świat ten daleki
Zabrzmi na nowo dźwięczna nasza mowa.

Reguły staropolskie.

(Wincenty Pol.)

Dukat — to nie kwitek!

Miodek — to napitek!

Bigos — to potrawa!

Kulig — to zabawa!

Kiedy zbrojnie — to ze szablą,
Kiedy z miną — to już z djabłą,
Kiedy strojuie — to we złocie,
Gdy pracować — to już w pocie,
Bankietować — to już szumnie,
Sejmikować — to już tłumnie.

Kiedy gardzić — to podłością,

Kiedy mówić — to z szczerością.

Gdy kto oszust — to go łaj,

Gdy pocziwy — rękę daj!

Gdy się bratać — to z równymi,
Gdy mieć litość — nad biednymi,
Gdy się modlić — to już szczerze,
Kiedy wytrwać — to w swej wierze,
Kiedy cierpieć — to wytrwale,
Kiedy kochać — to już stale.

Kiedy jeździć — to już sanna,

Kiedy szaleć — to za panną,

Gdy ucziwa — to polubić,

Gdy wzajemna — to poślubić,

Gdy rozsądna — to ją cenić,

A gdy mądra — strzeż się żenić.

Kiedy wspierać — to rodaka,
Kiedy tańczyć — krakowiaka,
Sąsiadować — to spokojnie,
Gdy obdarzać — to już hojnie,
Gdy docierać — to z obcesem,
Kiedy niszczyć — to z kretesem!

Gdy wyśmiewać — to już mody,
Gdy miłować — to swobody,
Kiedy hulać — to z drugimi,
Kiedy umrzeć — to w swej ziemi,
Kiedy order — to za bliźnę,
Kiedy zginąć — za Ojczyznę.

Walka z Moskalami.

(Z *"Pana Tadeusza."*)

Znowu Dobrzyńscy z Litwą natarli w zawody,
I pomimo dawniejsze dwóch stronnictw niezgody,
Walczą jak bracia, jeden drugiego zachęca.
Dobrzyńscy widząc, jak się Podhajski wykreca
Tuż przed szeregiem jęgrów i kosą ich kraje,
Zawołali z radością: "Niech żyją Podhaje!
Naprzód bracia Litwini, górą, górą, Litwa!"
Skołubowie zaś, widząc jak waleczny Brzytwa,
Choć ranny, leci z szablą wzniesioną do góry,
Krzyknęli: "Górą Maćki, niech żyją Mazury!"
Dodawszy wzajem serca, biegną na Moskali:
Nadaremnie ich Robak z Maćkiem wstrzymywali.

Gdy tak na rotę jęgrów uderzano z przodu,
Wojski rzuca plac boju, idzie do ogrodu.
Przy boku jego stapał ostrożny Protazy,
A Wojski mu pocichu wydawał rozkazy.

Stała w ogrodzie, prawie pod samym parkanem,
O który się opierał Ryków swym trójgranem,
Wielka, stara sernica, budowana w kratki
Z belek na krzyż wiązanych, podobna do klatki.

Ku tej sernicy Wojski z Wóżnym milczkiem idą,
Każdy zbrojny ogromnym drągiem jakby dzidą;
Za nimi ochmistrzyni dąży przez konopie
I kuchcik, małe, albo bardzo silne chłopię.
Przyszedłszy, drągi wparli w wierzch słupa nadgniły,
Sami u końców wisząc, pchają z całej siły:

Jako flisy uwięzną na rapach*) wicinę
Długimi drągi z brzegu pędzę na głębinię.

Trzasnął słup; już sernica chwieje się i wali
Z brzemieniem drzew i serów na trójkąt Moskali,
Gniecie, rani, zabija; gdzie stały szeregi,
Leżą drwa, trupy, sery białe jako śniegi
Krwia i mózgiem splamione. Trójkąt w sztuki pryska,
A już w środku Kropidło grzmi, już Brzytwa błyska,
Siecze różga, od dworu wpada szlachty tłuszcza,
A Hrabia od bram jazdę na rozpiechłych puszcza.

Już tylko ośmiu jęgrów z sierżantem na czele
Bronią się. Bieży Klucznik; oni stoją śmieje,
Dziewięć rur wymierzili prosto w łeb Klucznika;
On leci na strzał, kręcąc ostrze scyzoryka.
Widzi to ksiądz: zabiega Klucznikowi drogę,
Sam pada i podbija Gerwazemu nogę;
Upadli, właśnie kiedy pluton ognia dawał.
Ledwie otów prześwisnął, już Gerwazy wstawał,
Już wskoczył w dym, dwom jegrom zaraz głowy zmiata.
Oni biegną dziedzińcem, Gerwazy ich torem;
Wpadają we drzwi gumna stojące otworem,
I Gerwazy do gumna na ich karkach wjechał,
Zniknął w ciemności, ale bitwy nie zaniechał:
Bo przeze drzwi jęk słyszał, wrzask i gęste razy.
Wkrótce ucichło wszystko. Wyszedł sam Gerwazy
Z mieczem krwawym.

Już szlachta odzierżyła pole,
Porozpędzanych jęgrów ściga, rabie, kole,
Ryków sam został; krzyczy, że broni nie złoży,
Bije się; gdy ku niemu podszedł Podkomorzy,
I wznosząc karabelę, rzekł poważnym tonem:
"Kapitanie! nie splamisz czi twojej pardonem.
Dałeś próby rycerzu nieszczęśny, lecz mężny,
Twojej odwagi: porzuć opór niedołężny,
Złóż broń, nim cię naszymi szablami rozbroim:
Zachowasz życie i cześć, jesteś więźniem moim!"

Ryków Podkomorzego zwalczony powaga,
Skłonił się i oddał mu swoją szpadę naga,
Skrwawioną po rękojeść, i rzekł: "Lachy braty!
Oj, biada mnie, żem nie miał choć jednej armaty!
Dobrze mówił Suwarów: "pomnij Ryków kamrat,
Żebyś nigdy na Lachów nie chodził bez armat!

*) Rapy — progi rzeczne, nagromadzone w rzece kamienie przeszkadzające w spławie.

Kulik.

(Juliusz Słowacki.)

Oto zapusty! dalej kulikiem
Każdy wesoły a każdy zbrojny,
Jedzie na wojnę jak gdyby z wojny,
Z szcęką i pałaszy, śmiechem i krzykiem.
Dalej kulika w przyjaciół chaty,
Zbudzimy śpiących, zabierzem z sobą.
Nie trzeba wdziawać balowej szaty,
Ani okrywać czoła żałobą.
Tak jak jesteśmy dalej i dalej!
A gdzie staniemy? aż nad granicą....
Gwiazdy nam świecą,
Staniemy - cali.

Ha! ha! koń parska, rade nam dwory;
Nie trzaskaj z biczem, niechaj śpi lichom.
Szybko po drodze tak jak upiory
Śmigajmy szybko, cicho — i cicho.
Niech sanki świszczą,
Jak błyskawica w okrag księżycy:
Złote mgły koło,
Kagańce błyszczą.
Cha! cha! cha! jak nam wesoło.

Kto nas zobaczy, ten nie zostanie,
Z nami na nowe poleci tańce;
Mnogie hajduków świecą kagańce,
Szybkie po śniegu śmigają sanie.
A kto chce zostać, więc dobrej nocy,
Niech go nie zbudzi kogutów pianie,
Niech śpi spokojnie, my bez pomocy
Tak jak jesteśmy, dalej i dalej — etc.

Stójcie tu! stójcie, oto dwór biały
I światło w oknach, dam znak, wystrzał.
Odpowiedziały mnogie wystrzały,
Ha! dobra wróżba, wszak tu wesele.
Tu szlachta pije, wyprawia gody,
Drużby za nami! swaty za nami!
Do młodej panny, chodź panie młody.
Lecz nie patrz na nią, załana łzami,
A łzy kobiece zmiękcza ci serce.
Wrócisz! nie zwiędną ślubne kobierce,
Teraz za nami, tak z bukietami
Tak jak jesteście.... dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu dwór szlachcica:
Dam znak, wystrzelę.... nie ciszej! ciszej!
Znagła wpadniemy, nikt nie usiyszy.
Przebóg! tu pogrzeb, błyszczący gromnica....
Porozwieszane w oknach całuny
I stoi truna, a koło truny
Syn smutny w dłoniach ukrywa czoło!
Chal! chal! co robić? tu nie wesoło.
Lecz po co długie prawić androny,
Mój panie synu, prosimy z sobą.
Daj na pacierze, zostaw na dzwony,
Zabierz przyjaciół.... Z czarną załobą
Tak jak jesteście, dalej i dalej.... etc.

Stójcie tu! stójcie! tu znakomity
Szlachcic zamieszkał, więc drzwi uchylę....
Zielonem suknem stolik wybity
A na stoliku świecą pamfile.
Panowie szlachta! do djabła karty,
Dalej do bronii! a karty w kąty.
Niech Dej algierski, Karol dziesiąty
I delfin grają; może kto czwarty
Do gry zasiądzie i na kozery
Będzie błękitne rzucał papiery,
Które już dawniej spadły na cztery
I jeszcze spadną.... Mości panowie!
Niech w karty grają sami królowie
A my do koni, dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! tu zamek stary,
Na hasło mnogi strzał odpowiada.
Zamorskie widzę jakieś maskary;
Panowie bracia! to maskarada.
Szaty w dziwaczne lepione wzory....
Słuchajno! słuchaj mój włoski panie,
Czy sycylijskie znasz ty nieszpory?
Znasz ty Neapol? a ty Hiszpanie,
Czy byłeś kiedy w Minny orszaku?
Nie? mniejsza o to, Włoch, Korsykanin,
Żyd, Tatar, Turek, Amerykanin,
Chodźcie tu za mną wszyscy bez braku,
Tak jak jesteście, dalej! i dalej! etc.

Stójcie tu! stójcie! nowa gościna:
Już w oknach wszelkie światło pogasło,
Dam znak, wystrzelę, — nie poco hasło,
Tu śpią, nie słyszą, nie nasza wina,
Że sen przerwiemy.... Stukani we wrota.....
Ha! stary sługa wychodzi, świeci.

Twój pan śpi teraz? to mi to cnota!
"O nie, on nie śpi, pan mój i dzieci,
"Nim trzecie grudnia błysnęło zorze,
"Wyszli na czele zbrojnej czeredy;
"A teraz cicho, pusto we dworze,
"Wyszli na wroga, czy wrócą kiedy?"
Widzicie bracia, mylą pozory;
Takiemu pauu błogosław Boże.
Oby tak wszystkie zastać nam dwory!
Jedźmy więc sami, dalej! i dalej! etc.

Jakże noc pyszna, jak lecą konie!
Lecą i lecą, a z pod kopyta
Pryskają iskry, połyska błonie,
Śmigają sanki, już świta! świta!
Na niebie błednie czoło księżycy,
Droga skończona, oto granica,
Wstrzymaj rumaka! wstrzymaj rumaka!
Noc rozwidniała,
Zagrzmiały działa....
Oto jest kulik Polaka.

Czemu, mistrzu, masz siwiznę?

(*Krasiński.*)

Czemu, Mistrzu, masz siwiznę?
Stokroć młodszą mej młodości,
Boś za młodu miał ojczyznę,
A ja tylko proch jej, kości.

Czemu, Mistrzu, dotąd tleje
Żar ci w piersiach niezrównany:
Boś za młodu znał nadzieje,
A ja tylko zwątpień rany.

Z grobuś nieraz wyjrzał w górę,
Czuł już dreszcze zmartwychwstania,
Jam wciąż patrzył tylko w chmurę,
Która Boga mi przysłania.

Młodość, Mistrzu, jest rzeźbiarka,
Co wykuwa żywot cały,
Choć przeminie sama szparko,
Cios jej dłuta wiecznotrwały.

Więc już zwiądnę — gdyś ty dzielny!
Gdyś żyw jeszcze, mrę nikczemnie,
I nie będę nieśmiertelny!
Ach, szczęśliwszy ty odemnie.

Odpowiedź K. Koźmiana.

Wyniosły wieszczu! w męczeńskiej koronie
Iskrę twych ogni wrzuciłeś daremnie
Pruchno i popiół znalazła w mem łonie,
Ledwie zatlała, już zagaśła we mnie.

Los i cierpienia wspólne nam są obu,
Gdy cios morderczy wydarł matce życie,
Ja płaczę, jak syn schylony do grobu,
Ty, jak od piersi oderwane dziecko.

Choć mu pokarmu obca pierś nie skąpi,
Odwraca usta jakby od trucizny,
Coż nektar matki dziecięciu zastąpi,
Więdnie bez niego — jak ty bez ojczyzny.

Ach, krzep się! duszy niech cię wspiera siła,
Osierocony, nie jesteś sierotą,
Ostatnie dziecko, co matka powiła,
Jest starszych braci pieszczotą.

Jego kwilenie rzewne przypomina,
Bolesnej straty ostatki,
Tem większy urok czerpa w niem rodzina,
Im podobniejsze do matki.

Wieszczu, z twych trenów smutku i żalości
Niech uzna Polska i potomność cała,
Jakiej ta matka godna jest miłości,
Co takich synów wydała.

Do Tatrów.

(Z *Pieśni Janusza.*)

Odwiecznych Tatrów strażnice Piastowe.
Zdawnąście znane, a wiecznie nowe!
Choć myśl i oko przy was się upaja,
Myśl i żrenica wiecznie tutaj gością!
Z wami przenigdy myśl się nie oswaja,
Jak nie oswoi się nigdy z wiecznością;
Bo nie wzięść myślą co oko zakreśli,
Ani wzięść okiem co ogarną myśli
Ani was ująć, ni duchem wyświecić;
Ni w was się wcielić, ni nad was wyleć;
Tu hardość ducha mierzy się z naturą,
I rozegrana — bo nikomu górą.....

I gdyby nie lud, co dumne te czoła
Ile przepaści oplątał ścieżkami,
I prostym zmysłem zaludnił dokoła
Ten świat w obłokach swojemi gadkami;
Gdyby nie powieść, co swemi uśmiechy
Rozjaśnia wasze ponure milczenie,
Widok ogromu byłby bez pociechy,
Bo duch pojmuje tylko ducha technienie....
A wy strażnice śniegami świecące,
Stoicie wiecznie niemo i surowo,
I dla tych ludzkich pokoleń milczące,
Odkąd w was Boże skamieniało słowo!

Gopło.

(*Deotyma.*)

Tysiąc wspomnień jak flota pływa w sercu mem,
Jasno mi jak przy zorzy! jak na wiosnę błogo!.....
Lecz nie jestże to złuda?... nie byłoż to snem?
Widoki tak czarowne tylko śnić się mogą!

Kiedyż jeszcze tobą zasnę
O, mój śnie nad sny?
Szłam przez wody wielkie, jasne,
Przez rosy i mgły.

Szelest wodny mówi, wzrasta
W stu pokoleń szmer.....
Wśród nich widzę jak duch Piasta
Dziejów wiedzie ster.

Jego łódka wieczna chwała,
Jego wiosłem własny trud,
Jego czołem Polska cała,
Jego sercem lud!

Duch Popiela drząc zdaleka
U wieżycy strasznych bram,
Patrzy w Piasta i narzeka:
"On z narodem — a ja sam!"

I znów cichną dziejów burze,
I za duchem znika duch.....
Tylko pluszczą wodne róże,
I łabędzi błyska puch,

Jak ta woda mnie zachwyca!
Żywym mi się wzrokiem zda;
Gopło, to Polski żrenica;
Gopło, to jej iza.

Co jest Ojczyzna?

(A. z Siecina Krasicki.)

Co to Ojczyzna? to nasza dziedzina
Niegdyś płynąca i mlekiem i miodem:
To, o czym młode serce, śnić zaczyna,
Co duszę męża swym orzeźwia chłodem!.....
Usilnych dążeń cel rzewny i miły,
To, co pociesza i to co unosi,
To, czego czasu zęby nie skruszyły,
I nad czem oko łzę miłosną rosi!.....

Co to Ojczyzna? to chata uboga,
Na której bocian przy gnieździe klekoce,
To hoży młodzian, dziewica chędogą,
W domowym sadzie płożące owoce!
Ojce poważni, co pod lipą gwarzą,
Skromna dziewczyna pod rodzicy strażą;
I cnót domowych wdzięczne wychowanki:
To nasze matki, siostry i kochanki!

Co to ojczyzna? Sanu modre fale,
W których się ryba kąpie srebrnofuska,
To słowik, co swe wyśpiewuje żale,
Chyża jaskółka, co te fale muska!
To Tatry, śnieżnym błyszczące szeregiem,
Zielony Beskid i to Morskie oko,
I ukraszone rozlicznych wód biegiem,
Te rozpostarte rozłogi szeroko!

Co to ojczyzna? orzeł srebrnopióry,
Co nad Połonin unosi się szczyty,
Jesiennem słońcem ubarwione bory,
Rozkoszne knieje, omszone granity!
Powiewna brzoza, co ją wiosna stroi,
Łąka uroczem kwieciem umajona,
I ta kapliczka, co samotna stoi,
Lampą płożącą, tej niwy korona!

Co to ojczyzna? to nasze zawody,
I nasze klęski, i nasze nadzieje,
To biały gołąb: starzec siwobrody,
Co nam ubiegłe opowiada dzieje!.....

To na wyniosłej rozrzucone skale
Mężnych junaków sieroce dziedziny,
To bluszcz, co wieńczy te głązy wytrwale,
Co się przeciska między ich szczeliny.

Co to ojczyzna? stare cmentarzyska,
Kędy rodziców spoczywają kości.....
Maryacka wieża, co w oddali błyska,
To Wawel, świadek pradziadów wielkości!
Dawne mogiły, świetne bojowiska,
Słodkie pamiątki rodzinnej miłości!
Ochotna młodzież, poważna starszysza,
To jest ojczyzna!

Wisła.

(Morawski.)

Sarmackiej Wisły zbożopławne wody
W twarde ścianały lody,
Cieszyła się sroga zima,
Że je w swoich więzach trzyma.
Patrzcie, wołała, patrzcie dumne wały,
Coście w tej śmiesznej wolności bujały,
W jakich jesteście okowach!
Oto was każdy przychodziń
Depce, rąbie codziień.
I byle Kałmuk jeździ wam po głowach;
A wy cóż na to? ani mruknąć śmiecie;
Takie to was jarzmo gniecie,
Tak to zima włada!
Prawda, że jesteś niezmiernie zażarta,
Tak jej z pod Tatrów na swej urnie wsparta,
Stara Wisła odpowiada.
Nie wszędzie przecie cięży twa potęga,
Zawsze tam, zawsze pod tym twardym lodem
Śmiały i wolny nurt mój płynie spodem,
Tam twoja władza nie sięga.
Niech tylko moje słońce mi zabłyśnie,
Wkrótce ta cała przestrzeń lodów pryśnie.
Te śniegi nawet, któreś ty zuchwała
W przepaści gór tych nawiała,
Same mi kiedyś pomogą
Zrzucić twoją przemoc srogą.

Dmij więc, dmij groźnie z twemi Akwilony,
Ścinaj, krępuj nurt ścieśniony;
Spieszącej wiosny nie zatrzymasz w pędzie,
Pójdziesz, zkałd przyszłaś, Wiśła Wiśłą będzie.

Przez pieśń do czynów.

(Józef B. K.)

Czy pieśń radosna już dla nas ustała?
Czyli tam cichnie, gdzie huczy nawala?
Gdzie wicher nieszczęść przytłumia strun dźwięki,
Gdzie znane tylko łzy, rozpacz i męki?....

Dziką li pieśnią tętnią lutni struny,
Jakoby chciały przygłuszyć pioruny;
A wśród tych tonów brzmi marsz pogrzebowy
I słychać jęki i lament grobowy.

Lecz nie czas płakać! — w stał uderzmy czynów!....
Jedno niech żąda chwały, ni wawrzynów
Nie wiedzie do nich — lecz powinność nasza!.....
Od jej spełnienia niech nic nie odstrasza.

Tak, drogę czynów obrać nam potrzeba,
Bo ta prowadzi do wolności nieba;
I niechaj mistrze, natchnieni od Boga,
Swą pieśnią głoszą, kędy wiedzie droga.

Niech pieśń ich wskrzesi miłość w zimnem tonie,
Niechaj w niem nowy zapał znów rozptonie,
Byśmy wytrwali na drodze cierpienia,
Póki nie ujrzym jutrenki zbawienia.

Więc zabrzmiij, lutni, radosnemi tony,
I niechaj zapał, twą pieśnią wskrzeszony,
Napełni serca, dręczone zwątpieniem,
Upadające pod ofiar brzemieniem!

I niech zapragną po wiekach cierpienia
Z win ojców, z własnych błędów.... odrodzenia!
Niechaj nabędą hartu, woli, siły,
Aby wydobyć się z dziejów mogiły.

Śląsk moja Ojczyzna.

(Czesław Lubiński.)

Znasz ty tę ziemię, co z swych kruszców słynie,
A lud z ubóstwa i rzadkiej prostoty?
Gdzie marny kruszec w obcych ręce płynie,
A ludek w sercu swem drogie klejnoty
Przed cudzem okiem i światem ukrywa,
By nie sięgnęła po nie ręka chciwa —
Znasz ty tę ziemię, znasz ten lud poczciwy,
Znasz przyjacielu naszych chłopków serca?
Och, znasz je może, jak ci je kłamliwy,
Jak cudzoziemczy opisał oszczerca! —

Śląsko! — słowo czarującego uroku, —
Ojczyzno! — Węźle uczuć tajemniczy!
Nie zdołam ni myśli dziwnego toku,
Ni łez, ni uczuć burzliwej słodyczy

Dłużej przytłumić; więc niech się łzy leją,
Myśli swobodnie sobie pobujają;
Niech słodycz i gorycz serce koleją
Karmią, aż w radość cierpienia roztają.

Śląsko! ojczyzno, kraju ulubiony,
Od cudzoziemczej głupoty wzgardzony,
Wzgardę miłością niweczą twe syny,
Kochając i wielbiąc cię nad wsze krainy.

Gdzie bystra Odra toczy swoje wody
Śród ciemnych lasów i łąków złocistych!
Gdzie schludne domki, wesołe zagrody
W dolinach i po wybrzeżach skalistych,
Jakby na kobiercu kwiaty rozsiane;
Gdzie się po polach pieśni rozlegają,
W drogim po ojcu języku śpiewane;
Gdzie w lasach dziki i łanie bujają,
I gdzie z kominów niebotycznych chmury
Dymu się wiją, płomienie buchają,
A młoty w kruszec, jakby taran w mury,
Z traskiem piorunu stale uderzają,
Tam moja ojczyzna, to mój Śląsk kochany.

Gdzie w sercach ludu jędrne czucie żyje
Dla polskiej niegdyś ojczyzny i matki;
Na jej wspomnienie serce żywiej bije,
Jak gdy wygnane czasem z domu dziatki.
Na przeszłość spojrzą, jak na senne mary,

Gdzie miłość bratnia wsze serca kojarzy,
Gdzie każdy kmiotek jest jakby na straży
Swej mowy ojcowskiej, swej świętej wiary, —
Tam moja ojczyzna, to mój Śląsk kochany.

Głos z wygnania.

(Seweryna Duchńska.)

Miałam ci ja nizki dworek z bielonemi ściany,
Gdzie na gruszy poza płotem siadały bociany.

Ej! nie moje to już wrota i nie moje płoty,
Uwieńczone kwiecistemi powojów uploty.

Nie mój cichy ten ogródek, kędy wiśnie rosną,
Białym kwiatem, niby śniegiem, oblepione wiosną.

Nie moje to już ognisko, nie mój dym z komina,
Co ulatał po nad dachem, niby wstęga sina.

Ej! nie moje to zagony, kłosem falujące,
Nie złociste one jaskry na zielonej łące;

Ani stary ten kościółek, ni dzwony, co biły,
Kiedy trumny rodzicielskie kładziono w mogiły.

Nie mój nawet drobny kęsek tej cmentarnej ziemi,
Choć do gruntu niegdyś łzami przesiąknął sierocemi.

I nie mój ten krzyż omszały na rozstajnej drodze,
Oj! niewiele z ojcowizny zostało niebodze.

Tylko moją ta fujarka z gałązki wierzbowej,
Co wyrosła nad potokiem w pobliżu dąbrowy,

Wykarmiona pieśnią ptasząt i ziół licznych wonią,
Syta dźwięków tych pastuszych, co w powietrzu dzwonią.

Fujareczko, ty wierzbowa, mój skarbie jedyny,
Z tobą zbiegam obce wzgórze i cudze doliny;

Ty mnie wiedziesz, druchno wierna, przez ten świat szeroki,
Wydeptany od ćwierć wieku tułaczemi kroki.

Ty z Powiśla, czarodziejko, pogwarzasz mi wieści,
Przypominasz, jak w dąbrowie suchy liść szeleści;

Jak tam kwitną macierzanki, w polu maczek płonie,
Jak rozsiewa bór sosnowy w krąg żywiczne wonie.

Fujareczko, ty mój skarbie, cenniejszy nad złoto,
Ty mnie krzepisz, ty z palącą godzisz mnie tęsknotą....

Wyrzucone obie z gniazda na głuche bezdroże,
Idźmy śmiało i wołajmy: "Pomagaj nam, Boże!"

Niechaj zgniłe te podmuchy, co tu z bagnisk wieją,
Nie zatrują nas, nie skłócają z wiarą i z nadzieją;

Niech piosenka, szczerą, żywą, przeczystą i świeżą
Z rosą płynie tam, z kądem rodem, na mych wód wybrzeża!...

Somo-Sierra.

(Górecki.)

Gdzie wąwóz Somo skałami się jeży,
Jest ciasne przejście jak na szyk rycerzy;
Tam dumny Hiszpan, siadłszy na gór szczycie,
Czekał z pioruny na wrogów przybycie.

Z jakim łoskotem w Alpejskie nadbrzeża
Wód oceanu potęga uderza,
Tak szli do szturmów Frankowie zuchwali,
Lecz trzykroć biegli i trzykroć wrócali.

Jak niedostępne niebo dla bogaczy,
Tak była trudną dla mężnych ta droga;
Próżne wysiłki mężstwa i rozpacz,
Najśmielsze dusze śmierć spychała sroga.

Dumne Hiszpany z gór wierzcha szydziły —
"Chodźcie tu, chodźcie, dawno was czekamy,
"Wam tu Kastyliki robią uśmiech miły,
"Wam stary Madryt otwiera swe bramy."

Wtenczas bohater, co wiódł nasze męże,
Przybiegł, gdzie polskie lśniły się oręża;
W cichem milczeniu zwarte hufce stały,
Gdy on do wielkiej tak zachęcał chwały:

"Wy, co z waszemi znajome szeregi
"Egiptu piaski, Apeninu śniegi,
"Ty ze lwim sercem młodzieży nie trwożna,
"Wam to zwyciężać, gdzie innym nie można."

Rzekł, huczą trąby, ostrz mieczów się świeci,
Przez grad kartaczy las proporców leci,
Grzmi grom po gromie i razem ustały — —
Na wierzchu szanów usiadł orzeł biały.

Smierć zdrajcy ojczyzny.

(Górecki.)

Noc była ciemna, milczenie ponure,
Lało spokojność na całą naturę —
Wtem księżyc zajaśniał mile,
Bo już zbliżały się chwile,
Kiedy duchy z nieba skrycie
Na promykach gwiazdy schodzą,
I gorzkie nędzarzy życie
Snem łagodzą.

Nad rzeki brzegiem,
Co bystrym biegiem
Toczy mętne wały,
Błyszczy gmach wspaniały.

Tam zdrajca kraju obrzydły,
Leżąc gdzie łoże złociste,
Czekał, by sen swemi skrzydły,
Przytulił serce nieczyste.

Ogień w bladawym promieniu,
Po kunsztownych lampach skryty
Pokazywał w nocnym cieniu
Dostatek zbrodnią nabyty.

Starannie przez długie lata,
Zgromadził ten zbytek złoty
Wszystkie niemal skarby świata —
Nie stawało snu i cnoty.

Już czas żyży
W twardej spiży
Dwanaście razy brzęk zrodził,
A jeszcze sen nie przychodził.

On biegał po małych chatkach,
I przytulał tych w tej chwili,
Co kiedyś żyli w dostatkach,
A wszystko za kraj stracili.

Napróżno wyrodek podły
Wyglądał na jego przyjście —
Jak jesienne wędnał liście,
A smutki serce mu bodły.

Porzuca wyniosłe łoże,
Otwiera skrzynie zamkami warowne,
I mniema, że mu pomoże
Świetnych kamieni błyskanie kosztowne.

W tem niebo znak dało grzmotem,
Pioruny trzaśły
Ognie zagasły,
Wicher drzwi wyparł z łoskotem.

Wchodzi najprzód księżyc błądy,
A za nim w ślady,
Jakaś poważna osoba —
Na niej żałoba,
Smutna postawa,
Pierś krwawa.

Na takie widmo straszliwe,
Drży zdrajcy serce lękliwe!
Widzi, nie wierzy,
Włos mu się jeży,
I krzyczy: "To strachy czyje,
"Stój! bo zabiję!"

Ale postać błąda,
Nic nie odpowiada,
Idzie tylko z cicha
I wzdycha.

Wtenczas ufny w moc siarczystą,
Porwał zbrodzień broń ognistą,
Zmierzył, przycisnął,
Ogień błysnął;
Kula krwi pragnąca
Z hukiem powietrze roztrąca,
Srodek postaci przeszyla —
Ale ona wolnym krokiem,
Z milczeniem głębokiem,
Jeszcze bliżej przystąpiła.

Na zbrodniarza ramieniu drżącym
Wspiera się łokciem oziębiającym,
I odpoczywa.
On mdleje —
Pot leje,

I za drugą broń porywa.

Wtem ona do niego rzecze.
Głosem takim, jakim ciecze
Słodki strumyk, lutnia brzęczy,
Lub po mogiłach wiatr jęczy:
"Stój! mnie kula nie zabije,
"Na waszym świecie nie żyję.
"Synul ty w ciemnym zamknąłeś mię grobie,
"A ja przychodzę dać ratunek tobie.

“Widzę twą duszę smutkiem obciążoną —
“Chcesz spocząć, pójdziem na wieczności łono,
“Ja ci przebaczam, bo nie matki czynem
“Mścić się nad synem.”

Wtem razem wstrzęsły się gmachy,
Zadrżały dachy,
Jękła noc blada —
Przez okno wpada
Duch czarnej postaci!
I rzecze głosem zagrzemia:
“Nie masz, nie masz przebaczenia
“Temu, co przelał krew braci.
“Pan Przedwieczny, sprawiedliwy
“Stań przed Jego sąd straszliwy.”

Tak wyrzekł, i wnet ponury
Ciało zbrodnia w łożo cisnął,
Duszę w ciemne porwał chmury —
Wiatr za nim zawył, grom błysnął.

Dom Polski.

(*Józef Kościelski.*)

Jest między ludem odwieczne podanie
O rzeszy karłów podziemnych i gnomów,
Co rozłożyli swoje panowanie
Pod urwiskami gór, wśród skał załomów;
I tam gdzie stopie ludzkiej niedostępna
W głąb ziemi wiedzie kręta, skalna ścieżka,
Na wielkie losy świata obojętna
Posępna rzesza ziemnych karłów mieszka.
Mieszka i strzeże skarbów; gdy na świecie
Cokolwiek przemoc zdławi i zagarnie,
I łyzy, co roni uciśnione dziecko,
I sny młodzieńcze, podeptane marnie,
I dźwięki pieśni rzewnej niepojęte,
Zgłuszone gwarem chciwej łupów tłuszczy,
I poświęcenia ciche, mężne, święte,
I myśl, co z ludzkich badań się wyłuszczy;
Wszystko, co w życia gorączkowym wrzasku,
Choć ziarna pełne, nieplodne zaginie,
Co kończyć musi, nie mając początku,
Co mogąc wieczność żyć — kona w godzinie,
To wszystko z gruzów podjawszy i zgłiszczy,
Skrętna dłoń karłów składa w swe zasieki;
Co tam złożone, wraz światłem zabłyszczy
I już klejnotem jest po wszystkie wieki.

Więc to, co w pereł świeci rząd ujętem,
To było niegdyś łzą ludzkiego żalu;
Niezrozumiała pieśń jest tam dyamentem,
A czyn niepłodny iskrzy się w opalu.
I ani zgadłbyś, że te ametysty,
Że te szmaragdy, topazy, rubiny,
To niegdyś ludów gościniec ciernisty,
Lub krew serdeczna, przelana bez winy!....
I skarbiec gnomów rośnie w każdej dobie,
Bo na imienia ludzkiego zakałę
Po każdej krzywdzie, po każdej żałobie,
Aż gdy się każda zapełni szczelina,
Na krzywdy miejsca zbraknie w ziemi na dnie,
Sprawiedliwości wybije godzina
I gmach bezprawia z trzaskiem się rozpadnie.
Wówczas klejnoty rozsypią się hojnie
Dla całej ziemi zdobyczą radosną,
Wieczny mir wszędzie po odwiecznej wojnie,
A ziemne karty w olbrzymów wyrosną.

Czyż polska strzecha nie z baśni pieczarą?
Do której co dnia nędzne, ziemne karty
Siły, co walce życia obumarły?
To, co zdeptane, zbrukane, zatrute,
To, co zawiedło, zanim się zrodziło,
To, co zamilkło, nim wezbrało w nutę,
To, co przestało być, ach! — zanim było;
To, co po świecie robactwem zaległem
Zarazy trądem zaszło, albo błotem,
To wszystko pod jej świętym, cichym węglem
Znowu na wieki staje się klejnotem.

Królowa Jadwiga.

(*S. Duchńska.*)

Witaj, witaj nam Krakowie, ty grodzie wspaniały,
Stary strózu i piastunie narodowej chwały.
Z łona twego wszak wybiegła promienista zorza,
Co kraj wielki ogarnęła od morza do morza.
I któż rozdzielił brzask jutrzeński na ojczystem niebie?
Ty Jadwigo! ty królowo! ach! widzę ja ciebie:
Ty się modlisz, bo dzień próby straszliwy się zbliża,
A Zbawiciel odjął z cicha prawicę od krzyża.
Nad twą głową ukorzoną skreślił męki znamię
I uzbroidł na zapasy twe młodziuchne ramię.

Cud! cud Boży! jakaż jasność tryska ci z oblicza.
Świętym ogniem rozgorzała twoja pierś dziewicza.

Wyzwolona z pęt, — czem dla niej te ziemskie boleści?
Patrzysz w przyszłość jasnym okiem, nie trwożą cię wieści
O kudłaczu z puszczy litewskich, co twój tron podzielił
Inne słowa tobie szepcą niebiescy anieli:
Oni w dali ukazują dusz ludzkich tysiące,
Zgrzęzłe w mętnych trzęsawiskach, przed Perkunem drżące,
Jak przez ciebie wydobyte z wiekowej pomroczy,
Piers napoją żywą rosą, — spojrzą słońcu w oczy,
Jak w ich żyłach nowe życie krzyż cudem rozbudzi
I tę dziką trzodę leśną chrzest przemieni w ludzi.

Zrozumiałaś głos anielski, córo Piastów godna, —
I ofiarą swoją czasę wnet spełniłaś do dna,
I nie czujesz jej goryczy, boś objęła wzrokiem,
Wielki obszar między Wartą a Dnieprem szerokim;
Kędy Wisła szumi biała, kędy Niemen bieży,
I ziarn przez ciebie porzuconych kiełkuje plon świeży,
I ogarnia duszę twoją radość nieskończona,
Bo na zgłiszczach starych kontyn krzyż rozwarł ramiona,
Ale krótkie dni twych pasmo, już kres niedaleki
Już omdlały barki twoje, mrok padł na powieki,
Grób cię woła, już śmiertelne czujesz w żyłach dreszcze,
A nad drogą tobie Polską serce czuwa jeszcze.
Gdy małżonek u wezgłowia cały we łzach tonie,
I ostatnie z ust twych drżących dobiegły go słowa:
“Władysławie, za te skarby, tu, w murach Krakowa
Zbuduj szkolny gmach dla polskiej i litewskiej młodzi;
Niech z ogniska tego światło na kraj się rozchodzi,
Widzę, widzę, w mgle przyszłości, jak za łaską Bożą,
Nad narodem promienistą rozpostrze się zorza!”
Pragniesz mówić, ale słowo na twych ustach kona,
I w milczeniu złoty krzyżyk przyciskasz do łona.

Ach! ta zorza rozniecona tchem twej piersi czystym,
Płonać będzie na wiek wieków nad domem ojczystym,
Nie zgasiły jej śnieżyce ni gradowe burze,
Prastuletnie chmur tumany ona świeci w górze,
Bo co stworzy moc ofiary, na wieki trwać musi,
Tyś spełniła ją dla Polski, dla Litwy, dla Rusi,
Przez zasługi, przez łzy twoje... o święta królowol
Zorza chwały twoim ludom rozbłyśnie na nowo.

Syn do matki.

(*Agneszka Baranowska.*)

Gdy ja dorosnę, matko moja droga,
Będziesz się synem cieszyła,
Bo miłość prawdy, cześć i wiarę w Boga
Tyś w serce moje wszczepiła.

Uczyć się będę, pracować szczerze,
Służyć krajowi w potrzebie,
Zdrowie i życie oddam w ofierze!....
Tegom się uczył od ciebie.

Gdy ja dorosnę, o matko moja,
Praw świętych będę żołnierzem,
Błogosławieństwo twe, promienna zbroja,
Swym mnie osłoni puklerzem.

I pójdę walczyć mieczem ognistym
Przeciw ciemnych duchów złości,
Zasiewać będę w polu ojczystem
Ziarna wiary i miłości.

Dojrzałym mężem choć będę — kochana!
Ty mnie nazywaj dziecięciem,
Ja — jak przed Świętą — padnę na kolana,
Tęskniąc za twojem objęciem.

Głowa przed tobą ma pochylona,
Jak polne pod stopą kwiatki,
Ty ją do swego przytulisz łona,
Bo świętym jest uścisk matki.

Raławice.

(*Duchnińska.*)

Raławickie pola nasze! wam na wieki chwała!
Tu się jedność krwią ofiarną w sercach zapisała,
Krwia potężnych i maluczkich, społem z żył pociekła,
To chrzest pierwszy narodowy, on zwycięży piekło!

Od tej doby, gdy Jan Trzeci rozgromił księżycę,
Noc zapadła, — nowym brzaskiem błysły Raławice,
Z tego brzasku prędeż, później, nad krajem ojczystym
Nasze słońko się roztoczy wieńcem promienistym!

Hej, Bartoszu nasz Głowacki! z hartowanej stali
Wykonana kosa twoja w pień wali a wali,
A gdy krzykniesz: "Za mną chłopcy!" gromada zuchwała
Siecze Moskwę — niby trawę, rzuca się na działa.

Górą nasi! wróg ucieka.... noc.... trupów bez liku....
A nad nimi sierp roztoczył miesiąc na nowiku,
Zmordowane śpią szeregi.... Gdy błysło zranie,
Z czat ustąpił wódz naczelny — w wieśniaczej sukmanie.
Raławickie pola nasze! wam na wieki chwała!
Tu się jedność krwią ofiarną w sercach zapisała.

Do Polki.

(Seweryna Duchńska.)

Pokój domowi temu, gdzie polyska
Domowych uczuć płomień niewytłony,
Kędy na straży wiernie u ogniska
Czuwa niewiasta! — O! błogosławiony
Ten próg, za którym jak w arce przymierza,
Kryje się wiara i obyczaj święty,
Gdy powódź huczy, grom z niebios uderza,
Gromy i burze on przetrwa nietknięty.

Niewiasto polska, cześć tobie i chwała!
Ty czerpiąc siłę w czystym wiary źródłu,
Wybiegniesz z arki, jak gołąbka biała,
I onę różdżkę oliwną pokoju
Uszczkniesz i podasz twym braciom w rozterce,
I wzrośnie w drzewo ta latorośl krucha,
W liść ją zielony rozwinie twe serce,
A rdzeń jej skrzepi dzielność twego ducha. —
Och! bo ty Polko, tyś wyższa, niż one
Jerozolimy cór, łąą pojone,
Gdy z łąą ojczystych nie stało im kwiatu;
One, zrzuciwszy perły i purpurę,
Siadły nad cichym brzegiem Eufratu,
Z wzrokiem utkwionym w piorunową chmurę,
I zawiesiły drżące lutnie głucho
Na wierzb konarach, aby dźwięk ich złoty
Nie budził wspomnień, nie koił tęsknoty,
I w dniach żałoby nie zabrzmiał otuchą.

Polska niewiasto! ty dźwigasz inaczej
Twój krzyż wśród ciężkich żywota zawiei,
Twa złota lira nie zmiłkła w rozpacz, i
Lecz z niej dobywasz błogi dźwięk nadziei,
I choć w sieroctwie pierś twa bólem pęka,
Trąca w jej struny nieskalana ręka,
A chór aniołów, wtórzac pieśni w górze,
Zgania wiszącą nad twym domem burzę.
Ty ją zażegnasz dzielnem tchnieniem wiary,
I plon się Boży rozrodzi w tym progu,
Na łąy i trudy, prace i ofiary,
Niewiasto polska, pozdrawiam cię w Bogu!

Gdzie moja Ojczyzna?

(Światopiuk od Gdańska.)

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?....
Tam, gdzie w cieniu drzew odwiecznych
Pobielany domek stoi,
Gdzie się, brzęcąc, pszczołka roi,
Gdzie przeżyłem wśród serdecznych
Ludzi chwile mej młodości,
Tam jest, tam Ojczyzna moja;
Kto ją zna, ten mi zazdrości. —

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?....
Gdzie zielone pól kobierce
Srebrny strumyk rozgranicza,
Gdzie, ścierając pot z oblicza,
Pracowali, których serce
Moje szczerze ukochało,
Tam jest, tam Ojczyzna moja;
Z czcią wspominać ją przystało.

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?....
Gdzie Bałtyku srebrne piany
Łączą szum swój z szeptem borów;
Podczas długich tam wieczorów
Lud Kaszubów, lud kochany
Skarzy się na losy srogie;
Tam jest, tam Ojczyzna moja,
Tam mi wszystko miłe, drogie.

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?....
Tam, gdzie wznosząc się w błękity
Kraży szybko białe ptasze,
Od porohów aż po naszą
Ziemie i po Tatrów szczyty,
Gdzie lud wierny, dzielny, śmiały,
Tam jest, tam Ojczyzna moja;
Jej poświęcę żywot cały!

Pytasz, gdzie Ojczyzna moja?....
Od Alp śnieżnych za Bałkany,
Od Bałtyku do Euxynu,
Gdzie lud cnoty, serca, czynu,
Gdzie lud Słowian uciskany
Wątek życia w smutku snuje,
Tam jest, tam ojczyzna moja;
Serce me się w niej lubuje.

Kocham cię, Ojczyzno moja!
Kocham ojców dom i łany,
Kocham szczerze kraj Mestwinów,
Kraje Piastów, Gedyminów,
Kocham was, bracia Słowiany,
Kocham ziemię Asarmota!
Kochać cię Ojczyzno moja,
Obowiązek to i cnota.

Jan Trzeci Sobieski.

(Konopnicka.)

A za tego króla Jana,
Co to po łbach bił pogana,
Przyszły posły i rozjemce!
— Ratuj królu! Giną Niemce!
Turek na nas następuje,
Szyjom naszym miecz gotuje,
Naszym wieżom księżyc w nowiu,
Naszym działkom — chrzest w ołowiu!
Jak dobędą Wiedeń stary
Krwawo poczną uczyć wiary,
I postawią ciężkie stopy
W samem sercu Europy.
My — siłami niemieckimi
Nie obronim naszej ziemi,
Zginie — knechty i rycerze....
Ratuj — królu — bohaterze! —
Król się porwał rozgniewany;
— Wara, krzyknął, bisurmany,
Na to słońce, co nam świeci,
Trząść z buńczuków waszych śmieci!
Miecz mi dajcie!... Hej, trębacz,
Niech otrąbion kraj obaczę!
Niech się Polska moja ruszy,
Mocnej dłoni, wielkiej duszy!
— Niech hussarya skrzydła bierze,
Niech stalowe lśnią pancerze,
Niech szablice błysną w rękę,
Luzak z koniem, koń w obłęku.
— Za trzy doby hufce ruszą,
I nie spoczne, klę się dusza,
Aż oczyszczę dom sąsiada
Od szarańczy, co nań spada! —

Posłyszała Polska króla;
Koń u żłobu uszy stula,
Rycerz ostrzy miecz stalowy,
— Kraju miły! bądź mi zdrowy!
Trąbią w trąby w strony świata,
Głos po polu z wiatrem lata,
Szumi Wisła niespokojna,
Bory szumią: Wojna! Wojna!....

.....

Za trzy zorze i trzy noce,
Polska wiara Turka grzmoce,
Aż się szcerbi kosa śmierci
Na buńczukach z końskiej sierści!....

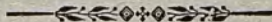
Grzmia armaty, świszczą kule,
Z dziwem stają obce króle,
Wyciągnęli długie szyje,
Patrzą, jak to Polak bije.

Turek włosy targa w brodzie,
Król rumaka piętą bodzie....
— "Hej! na obóz! Naprzód wiara!"
Poszła koniom z nozdrzy para.

Jak wiatr leca, jak grom wala,
Dziw, że świata nie obala,
Dziw, że się utrzymać mogą,
Koń kopytem, mąż ostrogą.

.....

"Naprzód!".... Wzięli namiot wroga.
Co miecz puścił — bije trwoga.....
A po świecie okrzyk leci:
— Niechaj żyje król Jan Trzeci!



III. PRACA I PRZEMYSŁ.



Praca.

(K. Brodziński.)

Dwie posłanki z dworu Pana
Idą ku nam zawsze z rana
Siostrami wzajem się głoszą,
Na wagach dary roznoszą;
Ta do trwogi, lub tęsknoty,
Mięsza chwałę, kruszec złoty;
Z płochości, albo obłudy,
Fortuną zowią ją ludy.

Druga skromnie między gaje,
Między pola się udaje,
W kłosistym wieńcu na czole
W ochoczem stawia się kole;
Zdrowiem, szczęściem darząc życie,
Lubi trudy i ukrycie,
A pracy bóstwem się mieni;
Jej siostra mało ją ceni.

Do niej spieszcie ziemi dzieci,
Którym świetny los nie świeci,
Bo ona o was troskliwa,
Fortunie klucze porywa,
Napój mieni w nektar boski,
Radość budzi, tuli troski,
Kwitnące wije wam zdrowie,
I z maku ściele wezgłowie.

Jako matka ubłagana,
Wiedzie córkę do młodziana,
Co niegdyś płocha, wstydliva,
Dziś śluby czyni mu tkliwa:
Tak swobodę praca rodzi,
Tak ją sama w dom przywodzi.
Bez matki zawsze jest płocha,
Z jej tylko ręki nas kocha.

Kto ku pracy ręce skłoni,
Nie uniży w dworach skroni,
Wolności bóstwo mu wszędzie,
Dni złotych pasmo uprzedzie;
Dla poddańców uprzedzenia,
W niewolnika się zamienia.
Psuć myślom skrzydeł nie daje,
Bezkarne z uprawdą przestaje.

Przeto komu kwitnie zdrowie,
Niech próżniactwu hołd wypowie,
Śpiewając pieśni swobody,
Niech mija zamki i grody;
A gdziekolwiek z losem zajdzie,
W całej ziemi matkę znajdzie,
Bo praca skarbiec dziedziczy,
Którego nigdy nie zliczy.

Polski przemysł niech nam żyje.

(J. Szaslecki.)

Polski przemysł niech nam żyje,
Przemysłowi cześć!
Bo w nim dążeń dziś się kryje
Narodowych treść!

Brak przemysłu dawniej dwoił
Narodowy trud;
On pomostem, który spoił,
Z szlachcią polski lud!

Lecz nauki nam potrzeba,
By osiągnąć szczyt!
Pracą sobie skarbmy chleba,
Zapewniajmy byt!

“Więc do pracy w każdym stanie!”
Niech wciąż hasło brzmi,
Przemysł polski zmartwychwstanie,
Z nim szczęśliwsze dni.

Każdy bo z nas, który spłaci
Własnej biedy karb,
Przez to samo już bogaci
Narodowy skarb!

A więc przemysł niech nam żyje,
Przemysłowi cześć!
Bo w nim dążeń dziś się kryje
Narodowych treść!

Stanisław Staszyc.

(Wł. Zieliński.)

Gdy duch narodu słabnąć już począł,
I gmach ojczysty w gruzy się walił,
Wnet dzielny Staszyc, kiedy to zoczył,
Do wspólnej pracy serca rozpałił.
Miłość Ojczyzny to jego hasło,
Niczem niezrażon, działał wytrwale,
Chciał, by w narodzie światło nie zgasło,
By naród jaśniał w świetności chwale.

Uczył, że tylko o własnej sile
Pracować trzeba na ojców łanie,
A znów zabłysną radosne chwile....
Nie próżne będzie nasze staranie.
On to prawdziwy "Ojciec Narodu,"
Potężnem echem mówi młodzieży;
"Bierz się do pracy, pilnuj zawodu,
Bo w tobie przyszłość Ojczyzny leży!"

Dając zaś dowód, jako należy
Służyć Ojczyźnie wedle możliwości,
Staszyc do pióra ochoczo bieży,
Naród naucza, karcą zdrożności.
Chcąc zaś polepszyć dobytek ludu,
Radzi oszczędność i skromność w domu,
Bo one niemal dokażą cudu,
A naród ujdzie nędzy i sromu!

Wszystkim życzliwy, w bratniej miłości
Czynem szlachetnym wieńczy swe skronie,
I między kmieci dzieli swe włosci,
Zgodę zaleca w Ojczyzny łonie.
Takich to mężów miała Ojczyzna,
Świetne ich czyny jasno nam świecą,
Choć smutno w duszy, choć w sercu blizna,
Niechaj w nas one nadzieję niecą.....

Dalej, do pracy, rażno wesoło,
Niechaj się gnuśność podła rozprysnie,
Bo komu z trudu schmurzy się czoło:
Temu nadzieja, szczęście zabłyśnie!

Miłość i Praca.

(A. E. Odyniec.)

I gniew mnie burzy i żal mię wzrusza,
Ilećroć widzieć mi trzeba:
Jak się anielska piękność i dusza
Unuża w pracy dla chleba.

A tak dziwnego jest coś w tym razie
W owym i gniewie i bólu:
Jak gdybym świętą, com czcil w obrazie,
Ujrzał u żniwa na polu.

I w tem uczuciu zda się odśłania
Tajna przeznaczeń zawilość:
Czem tu, z Boskiego snąć powołania,
Winny być: praca i miłość!

Praca na ziemi jest z sądu Pana
Karą ludzkiego rodzaju:
Lecz mu na ulgę miłość zesłana,
By nie zapomniał o raj.

Pracą grzech ciała odkupić trzeba,
Krewkość utrzymać w pokorze,
Lecz się przez miłość tylko do nieba
Duch oczyszczony wzniesć może.

I tylko miłość pracę uświęca,
Jak w pracy dla niej opieka,
Na to Bóg siłę tchnie w pierś młodzieńca,
Dziewicę w piękność otleka.

Wstyd więc młodziana trwodzić próżniaczej
Co się jej rzeka opieki!
I drząc przed pracą, woli się raczej
Miłości wyrzec na wieki.

Żal was i za was, córki Adama!
Że wasza miłość i krasa
Zamiast być pracy pobudką, — sama
W ziemskich jej znojach zagasa!

Lecz jest Kto widzi, jest Kto zapłaci,
Ku niemu tylko myśl wzniesćcie!
I kto wie — żali win męzkich braci
Bóg nie odkupi w niewieście!?

Pracę, oszczędność, które budują
 Wszelki gmach bytu na ziemi,
 Przez które możni na świecie panują,
 I ród ich w okół się pleni.
 Próżniactwo rodzi zbytki i rozpusty,
 Utratę zdrowia — majątku;
 Znędzniałe ciało, przytem worek pusty,
 To koniec — wedle porządku
 Praw wiekuistych, co czeka próżniaka.
 A więc do pracy — do pracy!
 By nie dotknęła nas niedola taka,
 Bądźcie oszczędni — rodacy!
 Zbierajcie grosze, — wykupujcie ziemię,
 Przez marnotrawców zbywaną,
 Aby nam polskie nie zmarniało plemię,
 By was leniami nie zwano!
 Aby wnukowie nie kleli pradziadów,
 Gdy przyjdzie tułać się w świecie, —
 I szukać chleba w służbie u sąsiadów....
 Niech klątwa prochów nie gniecie!!!!....

Życzliwe rady.

(Józef Chmielewski.)

Gdy co robisz — z Bogiem wszczynaj
 A nie złorzecz, nie przeklinaj!
 A w kościele — to się modlić;
 By się nigdy nie upodlić —
 Trwać więc zawsze w świętej wierze,
 Jak ród stary niegdyś szczerze,
 A choćby cię los miał chłostać,
 To przy wierze trzeba zostać.
 Gdy co robisz — to statecznie,
 Zawsze dobrze, pożytecznie,
 Byś nie doznał nigdy szkody
 I nie wiedział, co zawody.
 Gdy co lubisz — to już pracę,
 I sumienną, rychłą pracę,
 A nie krzywdę, miły bracie,
 To ci dobrze będzie w chacie.
 A więc pracuj, lecz uczciwie,
 A gdy płacisz — to godziwie.
 Jak ty robisz, tak i słudzy,
 Jak ty czujesz, tak i drudzy.
 Dajesz słowo — to rzetelnie,

Byś się sprawił zawsze dzielnie.
W czasie — to dwa razy dajesz,
Pewnie już to sam poznajesz.
Masz co tać — to już stale
A nie zdradzaj, bracie, wcale.
Gdy się brzydzisz — to pijaństwem,
I oszustwem i cygaństwem.
Gdy ci miłe — to już zdrowie,
Bo to pierwsze każdy powie.
Kiedy kochasz — to prawdziwie,
Nie obłudnie, lub fałszywie.
Chcesz mieć mienie — bądź oględny
I nie skąpy, lecz oszczędny.
Wydać tyle, ile trzeba,
A nie żałuj drugim chleba,
Kiedy cenisz — to oświatę,
Bo uzacni twoją chatę,
Byt powiększy i podeprze,
A co takie to i lepsze.
Cenną także — dobra rada,
Bo z niej często zysk nie lada.
W niej pociecha i otucha,
A więc takiej nadstaw ucha.
Szanuj starca, ubogiego,
Nie zakrywaj serca twego,
Bo Bóg z nieba czyny widzi,
On się sercem podłem brzydzi.
Gdy gość przyjdzie — przyjm do chaty
Czy on biedny lub bogaty,
Otwórz serce, uracz człeka,
Czy on z blizka lub z daleka.
Wskaż, żeś Polak, żeś tej wiary,
Co i dawniej ród nasz stary.
Nie bądź z tego nigdy próżny —
Bądź pomocny i usługny.
Kiedy gardzisz — to zazdrością,
I lenistwem i podłością;
A kto pyszny lub chępliwy —
Toć to głupiec jest prawdziwy.
Nie bierz nigdy cudzej rzeczy:
Że to brzydko — nikt nie przeczy.
Chcesz być zacnym, miły człeku,
W jakimkolwiek jesteś wieku,
Bądźże szczery i otwarty,
A broń Boże nie uparty.
Odznaczaj się pięknym czynem
I bądź mężem, ojcem, synem
Dobrym, prawym jak potrzeba —
A na ziemi doznasz nieba.

Złote słowo.

(*Wincenty Pol.*)

Niech oko opatrzne, co czuwa nad światem,
Nad mrówki i pszczołki robotą,
Osypie wasz żywot owocem i kwiatem,
Niech natchnie pocziwą ochotę!
Niech praca po ziarnku dokłada do ziarnka,
Niech mierzy i liczy i waży;
A kiedy pocziwa uzbiera się miarka,
Niech miłość tą miarką szafarzy.
Wśród burzy żywota, nie wyjdzie bezpieczny,
Z tej walki, ni wielki, ni mały,
Lecz wyjdzie oględny, wytrwale stateczny,
Rozumnie serdeczny i dbały.
Więc licz się i z czasem i z groszem, i z wiekiem,
Cwicz w pracy i w męstwie i w cnocie,
Szczędź zdrowia i mienia, czcij sojusz z człowiekiem,
A Bóg ci pomoże w robocie.



Trafiła kosa na kamień.

FRASZKA SCENICZNA W JEDNYM AKCIE.

OSOBY:

LUDWIKA, pokojowa pani Tkliwskiej,
TEODOR, służący.

Rzecz dzieje się w mieszkaniu pani Tkliwskiej.

SCENA I.

(Scena przedstawia pokój ładnie umeblowany.)

LUDWIKA *(sama.)*

Teraz po odjeździe mojej pani na wieś, jestem samowładną rządczynią w całym domu, nikt a nikt jak Ludwika! Nie ma teraz nikogo, kto by mi rozkazywał, ach to pięknie! Moja pani odjeżdżając, poleciła mi, ażebym przyjęła do usług jakiegoś Teodora, który był u pana kapitana, wuja mojej pani, i którego on, odjeżdżając na Ukrainę, zostawił tu w Krakowie.... Co to może być za jeden ten pan Teodor? Nie znam ani jego samego, ani jego pana; ta akwizycya jest dla mnie wcale niepomyślną. Powiada mi moja pani, że ten Teodor z jej wujem wiele podróżował, musi być zapewne świątły, dowcipny, kto wie, może i filut!

SCENA II.

(Teodor wchodzi po cichu i staje w głębi.)

LUDWIKA.

Kto to może wiedzieć! może ten Teodor wkradnie się w łaski mojej pani? Strach! mój urząd pierwszej faworyty straciłby wiele na swojej świetności, a do tego mój wuj, organista z dóbr mojej pani, prosił mnie, ażebym jego syna Bartłomieja mogła wkreślić do naszego domu.

TEODOR *(na stronie.)*

Tu widzę o moją skórę chodzi.

LUDWIKA.

Prawda, że i tam tego nie znam, lecz od dzieciństwa usługiwał na wsi, rzecz jasna, to musi być gawronem, mnie takiego właśnie potrzeba. (*zamyśla się.*) Muszę koniecznie wysadzić Teodora. Tak! kapitan już wyjechał, a Teodor nie zna ręki mojej pani. piszmy więc dekret dla niego (*siada i pisze*): “Kochana Ludwiko!”

TEODOR (*na stronie.*)

“Niegodziwa Ludwiko!”

LUDWIKA (*pisząc.*)

“Lubo wujowi memu przyrzekłam przyjąć jego lokaja, którego zostawił w Krakowie, lecz zreflektowawszy się, osądziłam, że mi wcale niepotrzebny, i że ty, moja kochana Ludwisiu, zupełnie mi wystarczysz, bo jesteś dobrą i cnotliwą.”

TEODOR (*na stronie.*)

Niebożátko złych ma widzę sąsiadów, bo się sama chwali.

LUDWIKA (*pisząc.*)

“Skoro ten Teodor przyjdzie do ciebie, pokaż mu mój list i powiedz, niech sobie innej służby szuka.”

TEODOR (*na stronie.*)

Wyśmienity projekt, posłuchajmy dalej.

LUDWIKA (*pisze.*)

“Ściskam cię serdecznie, kochana Ludwisiu.”

Juliana Tkliwska, starościna.

(*śmiejąc się.*) Ha, ha, ha! otóż twój dekret, panie Teodorze!

TEODOR (*na stronie.*)

Otóż twój dekret, panno Ludwiko! (*Cofa się i wraca, krzając.*) Hm! hm!

TEODOR.

Jaśnie Wna Pani, ja jestem lokaj, o którym pan kapitan Dziwacki Wnej pani wspominał.

LUDWIKA (*na stronie.*)

Cicho! Bierze mnie za swoją panią (*głośno.*) Czy to ty jesteś, przyjacielu?

LUDWIKA.

Oddał się beczelny!

TEODOR.

Czelny, czy beczelny. Dość, że cię już pokochałem, żenię się z tobą i kwita.

LUDWIKA.

Ja już jestem zaręczona!

TEODOR.

Z kim takim?

LUDWIKA.

A tobie co do tego?

TEODOR.

Prawda i to! No, tymczasem, nim pójdziemy do ołtarza, opowiedz mi wszystkie twojej pani zwyczaje, obrządki, nałogi, przywary, zalety, grymasy, chimery, kaprysy, żądania, chęci; słowem, naucz mnie tego wszystkiego, co jest potrzebne, abym wiedział o zasługach, dochodach przypadkowych, złych i dobrych obrywkach i o tem wszystkim, czego się tutaj spodziewać można.

LUDWIKA.

To wszystko wcale nie jest potrzebne.

TEODOR.

A to dla czego?

LUDWIKA.

Tu się w tym domu nic dobrego, ani złego spodziewać nie możesz.

TEODOR.

Na przykład.

LUDWIKA (*daje mu list.*)

Czytaj!

TEODOR (*na stronie.*)

Złapałem cię, filutko (*głośno po przeczytaniu*)! O mój mocny Boże!

LUDWIKA.

Cóż to ci, paniczu rozkoszny?

TEODOR (*z żalem.*)

Jestem zgubiony!

LUDWIKA.

Żal mi cię z całego serca.

TEODOR.

Dla czegoż pani starościna przyjąć mnie nie chce?

LUDWIKA.

Bo to miejsce przyrzeczone jest pocziwemu chłopcu.

TEODOR (*na stronie.*)

Pocziwemu gawronowi. (*głośno*); Jednak ja nie tracę nadziei, mój pan nie wyjechał jeszcze.

LUDWIKA (*przeleknięta.*)

Co? pan kapitan nie wyjechał jeszcze?

TEODOR.

Jeszcze nie, idę, pokażę mu ten list.

LUDWIKA (*na stronie.*)

Pozna, że to nie jest pismo mojej pani, zginęłam na wieki.

TEODOR.

Oj! będzie on wrzeszczał! Z nim niebezpiecznie żartować.

LUDWIKA.

Słuchajno Teodorku, mnie się zdaje, że nie potrzeba, abyś mu ten list pokazywał.

TEODOR.

Oj, bardzo potrzeba! Bez tego listu żadnym sposobem obejść się nie można, bez tego listu nie uwierzyłyby mi wcale, bez tego listu powiedziałby mi: to jest fałsz, oszustwo, moja siostrzenica nie umie kłamać, raz danego

słowa nie cofa. Nie turbuj się o mnie, moja Ludwisiu, ja tu zaraz powrócę, mój pan niedaleko ztąd mieszka, zobaczysz, pani starościna chcąc nie chcąc, musi mnie przyjąć do służby, bądź spokojna, moja rybko. (*Odechodzi.*)

SCENA III.

Ludwika sama.

LUDWIKA.

Cóż ja najlepszego uczyniłam? już po mnie, na co ja też komponowałam rękę mojej pani? ale któżby się był spodziewał, że ten dziwaczny kapitan Dziwacki jeszcze nie wyjechał. — Domyśli się wszystkiego, gdy mój list zobaczy, ma to być straszny pasjonat! Ach! mój Boże! jak on wpadnie, drzę cała! Jeszczem go nigdy nie widziała, piękne będzie spotkanie! Cóż ja mu powiem? — mojego głupstwa niczem usprawiedliwić nie zdołam! O mój Boże co tu robić? (*zamysłła się.*) Tak, uciekajmy, aby z pierwszego ognia ochłonać.

TEODOR (*staje w głębi.*)

LUDWIKA (*chce odejść, lecz spostrzega go.*)

O nieba! to on zapewne! Jakaż mina dzika! wasy jak u sumy! dalej w nogi (*kryje się do gabinetu na prawo.*)

SCENA IV.

(*Teodor wchodzi w ubiorze kapitana.*)

TEODOR.

Ludwika! gdzie ona jest? Gdzie jest ta nic dobrego (*na stronie.*) Żeby mnie tylko nie poznała (*głośno*) Ludwiko! Ludwiko! poczekaj, znajdę ja ciebie, Ludwiko! hej Ludwiko!

LUDWIKA (*wchodzi cała drżąca.*)

Jestem panie dobrodzieju!

TEODOR (*ostro.*)

Jakto, bezczelna, tyś śmiała....

LUDWIKA.

Ah! panie dobrodzieju!

TEODOR.

Ha! pokornaś to teraz hultajko! wiem, ja wiem, że się jak lis układać umiesz.

LUDWIKA.

Ale....

TEODOR (*tupiąc nogą.*)

Milczeć! żadnego ale, ani słowa, ani mrumru! ty mnie nie oszukasz twoją świątobliwością! Któż cię tak nauczył zmyślać rękę swojej pani? a wiesz ty hultajko, czem to pachnie?

LUDWIKA.

Już tego w mojem życiu więcej nie zrobię.

TEODOR.

Milczeć! co cię przywiodło do odmówienia służby Teodorowi, takiemu słusznemu chłopcu, z krwi prawdziwie czysto lokajskiej, chłopcu z wyrafinowanym dowcipem, chłopcu pełnemu obyczajności, moralności, wielkoduszności, mękości, he, gadaj! itd.

LUDWIKA.

Nie wiedziałam.

TEODOR.

Cicho! coś nie wiedziała, że on ma rozum, że jest obyczajny, jakby mu to z oczu wyczytać nie można było.

LUDWIKA.

Jam tego wszystkiego nie widziała.

TEODOR.

Milczeć mi zaraz! Jakto? Nie widziałaś tych wszystkich zalet — toś ślepa.

LUDWIKA.

Bynajmniej! Ja dobrze widzę, lecz on mi się tylko zdawał być....

TEODOR (*prędko.*)

Czem takim! Czem?

LUDWIKA.

Oszustem, wierzaj pan, że prawdę mówię.

TEODOR.

Ciszej mi zaraz! a wiesz ty o tem, że ty go krzywdzisz, ta otwartość na złe ci wyjdzie, on ci nigdy tego nie daruje, ten chłopiec kocha swój honor nad życie.

LUDWIKA.

Powiadają, że jego honor nie jest tak bardzo urażliwym.

TEODOR.

Choćby i tak było, toś ty nie miała prawa odprawiać go bez wiedzy twojej pani.

LUDWIKA.

Ja wiem, żem zgrzeszyła.

TEODOR.

Jako wuj i opiekun twojej pani mam prawo w jej nieobecności zarządzać jej domem, zatem dla ukarania cię za twoje oszukaństwo wypędzam cię natychmiast ze służby.

LUDWIKA.

Ach, panie dobrodzieju!

TEODOR.

Nie, nic nie pomoże, musisz być ukarana, najprzód za to, iż przysłanego przezemnie Teodora chciałaś wypędzić i mnie przez to skrzywdziłaś, powtóre, żeś śmiała zmyślać rękę twojej pani; po trzecie, nie ma już dla ciebie protekcyi.

LUDWIKA.

Zmiłuj się pan dobrodziej.

TEODOR.

Żadnego pardonu.

LUDWIKA.

Cóż ja pocznę?

TEODOR.

Dalej wynoś się, fora ze dwora!

LUDWIKA.

Zaklinam pana dobrodzieja na kolanach (*klęka.*)

TEODOR.

Nie daruję.

LUDWIKA.

Wysłuchaj mnie pan.

TEODOR.

Głuchy jestem.

LUDWIKA.

Oto się u nóg czołgam.

TEODOR.

Nie ustąpię!

LUDWIDA (*zrywając się.*)

To już za wiele.

TEODOR.

Toś ty jeszcze nie poszła?

LUDWIKA.

Ja pójdę, ale przysięgam, że Teodor będzie wypędzony.

TEODOR.

Jeszcze mruczysz?

LUDWIKA.

Piekło i niebo poruszę. (*odchodzi w prawo.*)

TEODOR.

Żywo wynoś się i zabieraj swoje manatki!

SCENA V.

(*Teodor sam.*)

TEODOR.

Ha, ha, ha! Trafiła kosa na kamień. Ona mnie chciała przez próg przesadzić. Rozbierzmy się z ubioru mojego pana. Ona niezadługo wyjdzie, będzie rozumiała że mnie pan Kajetan instalował na jej miejsce, wybieg za wybieg — otóż i ona! (*rzuca suknie do gabinetu i idzie do drzwi środkowych.*)

LUDWIKA (*wchodzi.*)

SCENA VI.

(*Ludwika i Teodor.*)

TEODOR (*mówiąc niby do pana.*)

Dziękuję panu Dobrodziejowi za jego względy! Co pan mówi, żeby ją wypędzić? Dobrze, dobrze, zdaj się pan tylko na mnie, już ją tu zaraz wytransportuję.

LUDWIKA.

Ty hultaju!

TEODOR.

Ah, nieboga, cóżes ty najgorszego zrobiła? Czemużes mi o tem zaraz nie powiedziała.

LUDWIKA.

Ty nic dobrego, twoja to sprawka, tyś to namówił twojego pana.

TEODOR.

Czy ty nawet możesz o tem myśleć?

LUDWIKA.

Czy już poszedł ten okrutnik?

TEODOR.

Poszedł.

LUDWIKA.

Nie powróci?

TEODOR.

Dalej wynoś się, fora ze dwora!

LUDWIKA.

Zaklinam pana dobrodzieja na kolanach (*klekka.*)

TEODOR.

Nie daruję.

LUDWIKA.

Wysłuchaj mnie pan.

TEODOR.

Głuchy jestem.

LUDWIKA.

Oto się u nóg czołgam.

TEODOR.

Nie ustąpię!

LUDWIDA (*zrywając się.*)

To już za wiele.

TEODOR.

Toś ty jeszcze nie poszła?

LUDWIKA.

Ja pójdę, ale przysięgam, że Teodor będzie wypędzony.

TEODOR.

Jeszcze mruczysz?

LUDWIKA.

Piekło i niebo poruszę. (*odchodzi w prawo.*)

TEODOR.

Żywo wynoś się i zabieraj swoje manatki!

SCENA V.

(Teodor sam.)

TEODOR.

Ha, ha, ha! Trafiła kosa na kamień. Ona mnie chciała przez próg przesadzić. Rozbierzmy się z ubioru mojego pana. Ona niezadługo wyjdzie, będzie rozumiała że mnie pan Kajetan instalował na jej miejsce, wybieg za wybieg — otóż i ona! (*rzuca suknie do gabinetu i idzie do drzwi środkowych.*)

LUDWIKA (*wchodzi.*)

SCENA VI.

(*Łudwika i Teodor.*)

TEODOR (*mówiąc niby do pana.*)

Dziękuję panu Dobrodziejowi za jego względy! Co pan mówi, żeby ją wypędzić? Dobrze, dobrze, zdaj się pan tylko na mnie, już ją tu zaraz wytransportuję.

LUDWIKA.

Ty hultaju!

TEODOR.

Ah, nieboga, cóżes ty najgorszego zrobiła? Czemużes mi o tem zaraz nie powiedziała.

LUDWIKA.

Ty nic dobrego, twoja to sprawka, tyś to namówił twojego pana.

TEODOR.

Czy ty nawet możesz o tem myśleć?

LUDWIKA.

Czy już poszedł ten okrutnik?

TEODOR.

Poszedł.

LUDWIKA.

Nie powróci?

TEODOR.

Nie.

LUDWIKA.

Więc ty tutaj zostaniesz?

TEODOR.

Tak jest, za twojem pozwoleniem.

LUDWIKA.

Życzę ci szczęścia! Oj! nie znasz ty mojej pani.

TEODOR.

To nic nie szkodzi, wkrótce się poznamy.

LUDWIKA.

To jest elegantka, grymaśnica, co chwilę łaje i bije....

TEODOR.

Niech cię o to głowa nie boli.

LUDWIKA.

Czekaj, przyjdzie i na ciebie kolej i to wkrótce.

TEODOR.

Niestety, to jest losem powszechnym, co dziś w górze, jutro na dole.

LUDWIKA *(na stronie.)*

Ha! co za wyborna myśl! poczekaj! nie spodziewasz się, co cię spotka *(odchodzi.)*

SCENA VII.

(Teodor sam.)

TEODOR.

Nieboga, żal mi jej doprawdy, ale ta lekcya była dla niej potrzebna! Gdy ją z wygnania przywołam, pozna wtenczas, jak daleko nad nią wyższym jestem i będzie mnie umiała szanować, będę sobie, jak wszędzie bywałem, totumfackim. Ale cicho! zdaje mi się, że ktoś idzie! *(słucha)* to zapewne Ludwika wraca mnie prosić o miło-

sierdziej, ale nic z tego! Ażeby się jej zbyć, ubiorę się w mundur kapitański swojego pana (*odchodzi na lewo.*)

SCENA VIII.

(*Ludwika ubrana za panią, woalem czarnym nakryta, mówi tonem grymaśnym.*)

LUDWIKA.

Hej, Ludwiko! to życie wiejskie niemiłosiernie mi się znudziło! fi! co to za nudy! Ludwiko! (*na stronie.*) Nie widać go! ale którądy wyszedł, (*głośno*) Ludwiko!

TEODOR (*wchodzi w mundurze.*)

O nieba! to niechybnie pani starościna.

LUDWIKA (*sposstrzega go drżąca.*)

Ach! to wuj mojej pani. (*spogląda na niego.*)

TEODOR (*na stronie.*)

Przypatruje mi się (*patrzy na nią.*)

LUDWIKA.

Jak mię oczyrna mierzy.

TEODOR.

Już po mnie.

LUDWIKA.

Zginęłam.

TEODOR.

Już poznała mnie.

LUDWIKA.

On mnie zamorduje!

TEODOR.

Ale dla czego mi nic nie mówi.

LUDWIKA.

On mnie nie zaczepia!

TEODOR.

Czeka mojego wyznania.

LUDWIKA.

Czeka, aż ja przemówię.

TEODOR.

Zacznijmy akt pokuty.

LUDWIKA.

Udajmy się do pokory (*zbliża się.*)

TEODOR (*zbliżając się.*)

Konceptu mi nie staje.

LUDWIKA.

Zemdleję (*postępując wolno.*)

TEODOR (*trzęsąc się.*)

Zbliża się do mnie (*postępując ku niej.*)

LUDWIKA.

Już idzie.

TEODOR.

Uprzedźmy ją.

LUDWIKA.

Zacznijmy wyznanie (*oboje chcą klękać.*)

TEODOR.

Pa.... pa.... pani.

LUDWIKA (*na stronie.*)

Co widzę?

TEODOR (*zdejmując czapkę.*)

Ja.... ja.... jestem.

LUDWIKA (*zdziwiona.*)

Teodor?

TEODOR (*bełkocząc.*)

Tete.... te.... te.... odor.

LUDWIKA (*na stronie.*)

A oszust! zapłaćmy mu teraz wet za wet!

TEODOR.

Biedny Teodorek!

LUDWIKA (*na stronie.*)

Nie wiem jak zacząć?

TEODOR.

JWna Pani jam się dla tego przebrał, bo służąca pani Ludwika, ta filutka, gwałtem mnie chciała wypędzić.

LUDWIKA (*na stronie.*)

O! hultaj, jak mnie oszukał.

TEODOR.

Daruj mi pani ten podstęp, chciałem sobie przez to służbę zapewnić.

LUDWIKA (*groźnie.*)

Wstań nikczemny.

TEODOR (*wstając.*)

Pani mi przebaczasz?

LUDWIKA.

Milcz! idź precz! czekaj, biegaj! zawołaj Ludwiki!

TEODOR.

Ja pani.... Ludwika (*na stronie.*) Co jej powiedzieć?

LUDWIKA.

Idź, mówię, zawołaj mi Ludwiki.

TEODOR.

Ach, pani, muszę wyznać prawdę, jam ją....

LUDWIKA.

Co! gdzie jest Ludwika!

TEODOR.

Jam ją odprawił!

LUDWIKA.

Jakto? ty śmiałeś odprawić Ludwikę, moją najukochańszą, najuczciwszą Ludwikę, która nie służącą, ale przyjaciółką moją była.

TEODOR.

Pani! Ja jej nie poznałem.

LUDWIKA.

Jakto? nie poznałeś?

TEODOR.

Jam w niej tych wszystkich cnót wcale nie upatrywał.

LUDWIKA.

Cóż to hultaju? czy ty rozumiesz, że ja nie umiem sądzić o ludziach?

TEODOR.

Boże uchwaj! Jam tylko chciał przedstawić w największej pokorze, że ta filutka tak zręcznie ułożyć się umie jak kotek.

LUDWIKA.

Co? hultaju, śmiesz w mojej przytomności hańbić najlepszą moją przyjaciółkę?

TEODOR.

Pani dobrodziejko! ja się omyliłem, panna Ludwika jest zbiorem wszystkich cnót.

LUDWIKA.

Tak, to dobrze, idź teraz zdjąć ten ubiór, tak nieodpowiedni twojemu stanowi.

TEODOR.

Natychmiast pani dobrodziejko (*idzie na lewo.*)

LUDWIKA.

Złapałam cię, oszuście! Poczekaj! zbrzydzę ja tobie tę służbę, dla której chciałeś mnie wypędzić, teraz sam będziesz z niej uciekał.

TEODOR (*wraca w liberyi.*)

Jestem już, pani dobrodziejko.

LUDWIKA.

Więc to ciebie na polecenie wuja mego mam przyjąć za lokaja? Czy ci wiadome okoliczności wszystkie, dotyczące się tej służby?

TEODOR.

Nic a nic pani dobrodziejko.

LUDWIKA.

U mnie służba bardzo dobra.

TEODOR.

Tem lepiej dla mnie!

LUDWIKA.

Ale trzeba być pilnym! Dzień i noc siedzieć w przedpokoju, przybiegać natychmiast, choćby o północy, kiedy tylko zadzwonię. — Dwadzieścia biletów roznieść w jednej godzinie, biegać po mieście choćby deszcz lał i pioruny biły. Być razem lokajem, stangretem, kamerdynerem, szwajcarem, kuchmistrem, laufrem, pocztylionem, słowem tem wszystkim, co ja będę chciała, pracować nieustannie, nie sypiać choćby w nocy, chyba ukradkiem, jeść mało, nie upijać się nigdy.

TEODOR.

Bardzo dobrze pani dobrodziejko!

LUDWIKA (*na stronie.*)

Trudno go będzie odstraszyć. (*Głośno.*) Jeszcze mam ci wiele do powiedzenia. Lubo jestem z natury dobra i cierpliwa, jednakowoż gniewam się zaraz, łaję, a jeszcze częściej biję.

TEODOR.

Ze mnie pani zapewne będziesz zadowolniona.

LUDWIKA (*na stronie.*)

Jakoś widzę odważny. (*Głośno*): Dobrze, więc kiedy na wszystko przystajesz, przyjmuję cię do służby za lokaja. Zaczynaj natychmiast służbę. Przynieś mi kawy. Czeka! idź, polewaj kwiaty! Czeka! uprzątnij w sali! idź koniom dać obroku.

TEODOR.

Biegnę!

LUDWIKA.

Czeka! Mój stangret chory, zawieziesz mnie do miasta na obiad, będziesz mi służyć do stołu, tego wieczora jadę na wieś, będziesz mi na wsi obiad gotował? Jutro rano poślę cię kuryerem 12 mil od Krakowa do mojej ciotki. Trzeba żebyś jeszcze przed południem wrócił i obiad mi zgotował.

TEODOR.

Bardzo dobrze pani dobrodziejko (*na stronie.*) Ciasno tu na mnie, bardzo ciasno (*odchodzi.*)

LUDWIKA.

Czeka! najprzód biegaj mi do pani kasztelanowej Modnickiej, także do pani szambelanowej Umizgalskiej — spytaj się pierwszej, czy jej piesek zdrowy. Drugiej, czy jej papuga dobrze spała. Czeka! wstąp do sklepu, kupisz ryżu, wódki pachnącej, dwie pary rękawiczek, wachlarz haftowany i lornetkę. Biegaj! wracaj za kwadrans, a żywo — ale.

TEODOR.

Dobrze pani, ale....

LUDWIKA.

Cóż? ale? ja nie lubię żadnego ale, — biegnij! czeka! przynieś mi czekolady.

TEODOR.

Zaraz pani!

LUDWIKA.

Czeka! źle mi jest — przynieś mi wódki kolońskiej z mojej toalety.

TEODOR.

Natychmiast.

LUDWIKA *(krzycząc.)*

Teodor!

LUDWIKA.

Czekaj! bądź przy mnie, boję się, żebym nie zemdląa.

TEODOR *(na stronie.)*

A bodajesz umarła.

LUDWIKA *(krzycząc.)*

Teodor!

TEODOR.

Jestem pani!

LUDWIKA *(rzuca się w krzesło.)*

Umieram!

TEODOR.

No, Bogu dzięki! ale cóż ja tu z nią będę robił? sam ledwie na nogach stoję! Hej! Pani! Dobrodziejko! *(trzęsąc jej rękę.)*

LUDWIKA.

Hultaju, rękę mi złamiesz, biegaj mi po lekarza, czekaj! idź! czekaj!

TEODOR *(zmęczony.)*

Słu.... słu.... cham.

LUDWIKA.

Nerwy się we mnie kurczą.

TEODOR.

Cóż ja mam robić z temi nerwowemi kurczętami?

LUDWIKA.

Po lekarza mówiłam.

TEODOR.

Biegnę!

LUDWIKA.

Czekaj!

TEODOR.

Czekam!

LUDWIKA.

Czemuż nie idziesz?

TEODOR.

Idę!

LUDWIKA.

Czekaj! idź — czekaj!

TEODOR (*siada.*)

Już się z miejsca nie ruszę! oj! oj! moje nogi.

LUDWIKA.

Cóż ci mój wuj odjeżdżając, kazał powiedzieć?

TEODOR.

Ka.... ka—zał pani powiedzieć.

LUDWIKA.

Mówże prędzej!

TEODOR.

Pan kapitan — nie mogę ani słowa wymówić....

LUDWIKA.

Gadajże mówię.... albo....

TEODOR.

Za.... zadyszałem się.

LUDWIKA.

Co ty tam mruczysz? he?

TEODOR (*głośno*):

Nic, a nic: (*na stronie*) o! co tego to zanađto, niech ją piorun trzaśnie z jej służbą.

LUDWIKA *(na stronie)*.

Przeciem mu dokuczyła. *(głośno)*: No, i cóż kapitan?

TEODOR.

Mój pan?

LUDWIKA.

Skończysz ty dzisiaj?

TEODOR.

Odjeżdżając, kazał pani dzień dobry powiedzieć!

LUDWIKA.

Co? ty łotrze, żarty sobie ze mnie stroisz? idź mi precz!

TEODOR.

Ach, z całej duszy pani dobrodziejko!

LUDWIKA.

Czekaj! rozumiałby kto, że u mnie służba jest przykrą, u mnie, która jestem tak dobrą panią.

TEODOR.

Tysiąc rozkazów w jednej minucie, to za wiele pani dobrodziejko!

LUDWIKA.

A choćby i milion, kiedy mi się tak podoba, twoim obowiązkiem jest wypełnić je bez szemrania! Za to ci płacę i za to cię żywien!

TEODOR.

Nie, pani dobrodziejko, my się nie zgodzimy, ja jestem flegmatyk i wszystko zwolna robię—pani dobrodziejka jest żywa, niecierpliwa!

LUDWIKA.

Kto? ja niecierpliwa? *(uderza go w twarz)*. Oto masz za twoje zuchwalstwo.

TEODOR.

Uniżony sługa, dziękuję pani za służbę i za zapłatę.

LUDWIKA.

Czekaj ani kroku, ja chcę, żebyś tu został.

TEODOR *(na stronie)*.

Czy mnie tu djabli wnieśli! bodaj ten pan kapitan kark skreślił. *(głośno)* Bądź pani łaskawa uwolnić mnie ze swojej służby. Pani jesteś zanadto dobra, mógłbym się popsuć u niej.

LUDWIKA.

Idź więc do kaduka! wynieś się a prędko!

TEODOR *(na stronie)*.

Chwała Bogu. *(głośno)* Natychmiast! *(odchodzi na lewo)*.

LUDWIKA.

Po co tam idziesz!

TEODOR.

Chcę zabrać mój ubiór kapitański. *(na stronie)*. U takiej sekutnicy nie służyłbym za miliony. *(odchodzi)*.

SCENA IX.

LUDWIKA *(sama rozbiera się)*.

Ha! ha! ha! umrę ze śmiechu. Panie Teodor, odemnie musisz brać lekcję filuteryi. Grajmy tę samą rolę co on grał ze mną, niech widzi mój pochód tryumfalny. *(rzuca suknie do gabinetu)*. Otóż i on! moje pięć palcy znać mu jeszcze na twarzy.

SCENA X.

TEODOR *(wchodząc)*.

Upadam do nóg pani, dziękuję za służbę i za zapłatę, a to ty Ludwiko, jużś wróciła.

LUDWIKA.

Dowiedziałam się, iż pan kapitan od dwóch godzin wyjechał, domyślałam się twojej sprawy i wróciłam.

TEODOR.

Ja właśnie chciałem cię szukać!

LUDWIKA.

Doprawdy?

TEODOR.

Twoja pani jest sekutnicą, rodem z piekła.

LUDWIKA.

Dopierom się z nią widziała.

TEODOR.

Tyś się z nią widziała?

LUDWIKA.

Strasznie na ciebie zagniewana.

TEODOR.

Nie dbam już o jej gniew, bo ztąd odchodzę, biada temu, kto tu będzie na mojem miejscu. Twoja pani bardzo rezolutna. (*widząc śmiech Ludwiki na stronie*). Zaczynam mieć podejrzenie.

LUDWIKA (*śmieje się*).

Więc chcesz innej służby szukać?

TEODOR.

A jużci, kiedy mnie twoja pani wypęda.

LUDWIKA.

Rozstańmy się bez gniewu przynajmniej. Ja wiem, dla czego ci odradzałam przyjmować służbę u mojej pani..... O znam ja ją bardzo dobrze.

TEODOR.

O! prawda, pocziwa z ciebie dziewczyna.

LUDWIKA.

Czy chcesz się jeszcze raz ze mną żenić?

TEODOR.

Konieczniel pomimo tego, że jesteś innemu zaręczoną.

LUDWIKĄ.

Pomyślmy o tem. Do widzenia panie Teodor. (*śmieje się*).

TEODOR.

Po cóż ten uśmiech szyderczy?

LUDWIKA (*szyderczo*).

Adieu, biedny Teodorku.

TEODOR.

Ty się ze mnie naśmiewasz?

LUDWIKA.

Szukaj gdzieindziej lepszej służby, gdzieby twoje zdrowie lepiej szanowano.

TEODOR *(na stronie)*.

Jestem oszukany, uważajmy na nią.

LUDWIKA.

Czego się ociągasz?

TEODOR.

Muszę się pierwszej z twoją panią pożegnać.

LUDWIKA.

Obejdzcie się wcale bez tego.

TEODOR.

Byłoby to niegrzecznie, gdzie jest pani?

LUDWIKA.

Pani nie kazała nikogo do siebie wpuszczać.

TEODOR.

Czy tu w tym gabinecie jest?

LUDWIKA.

Tak, tutaj!

TEODOR.

Muszę iść do niej koniecznie.

LUDWIKA.

Boże uchowaj!

TEODOR.

Ale czemu?

LUDWIKA.

Ona się na ciebie gniewa, gdyby cię zobaczyła, dostałyby migreny!

TEODOR.

Migreny! Bądź więc zdrowa, idę już, lecz bądź pewna, że pomimo tego niepomysłnego wypadku muszę się z tobą koniecznie ożenić.

LUDWIKA.

Dobrze, dobrze! cóż ty tam masz pod pachą?

TEODOR.

Pana kapitana. (*odchodzi*).

SCENA XI.

LUDWIKA (*sama*).

Oto masz figiel za figiel! żal mi go doprawdy, ale dobrze mu tak! wet za wet! Więc zaraz znowu jestem faworytą i nie boję się nikogo! prawda, że mnie to wiele pracy kosztowało. Teodor będzie od tego domu, jak od zapowietrzonego, uciekał. Jednakże to paradna rzecz rozkazywać. Jak Bartłomiej przyjęty zostanie, musi mi jak pani usługiwać. (*słychać Teodora śpiewającego za sceną*). Cóż to za głosik dyszkantowy? To Bartłomiej zapewne.

SCENA XII.

TEODOR (*wchodzi jak chłop*).

A czy to panna jesteś panna Ludwika?

LUDWIKA.

Tak, ja jestem, lecz któż ty jesteś?

TEODOR.

Hm! ja nie jestem ty, ale pan Bartłomiej, syn pana worganisty, wuja aspanny.

LUDWIKA.

Ale cóż to za niezgrabna facyata.

TEODOR.

Wejcie no, jak tu ślicznie (*rozgląda się*).

LUDWIKA.

Gawron i straszny gawron! Czy ci się tutaj podoba?

TEODOR.

Ha! ha! ha! ogniście! ha! ha! ha!

LUDWIKA.

Z czego się tak ustawicznie śmiejesz?

TEODOR.

Aspanna tak jesteś śliczna, tak piękna! że co się spo
żrę na aspannę, to się śmiać muszę, ha! ha! ha!

LUDWIKA.

Skończysz ty już te chichoty?

TEODOR.

A gdzie aspanna mieszka?

LUDWIKA.

Tutaj!

TEODOR.

Tutaj? w takim pięknym pałacu? tak pięknie ubra-
na? ha! ha! ha! Ktoby to powiedział, żeś waćpanna przed
dwoma laty było pasała?

LUDWIKA.

Tylko mi to jeszcze raz wspomnij gapiu, a zaraz cię...

TEODOR.

No, no, no, nie powiem nikomu, żeś waćpanna było
pasała, ha! ha! ha!

LUDWIKA.

Czy ci się doprawdy mój ubiór podoba?

TEODOR.

A jużci, że mi się podoba, a co to za śliczna szmata,
jakie piękne faworki, jaka śliczna zapaska! Nasza pani,
kiej do kościoła idzie, to się tak nie ubiera. Ej, trzeba
na to dużo ognieście pieniędzy, a to nie na służebną.

LUDWIKA.

Zamiast gadania głupstwa, lepiejbyś zrobił, dziękując
mi za służbę, którą ci wyrobiłam.

TEODOR.

Bóg zapłać! Jużci ja za to aspannie się wywdzięczę.

LUDWIKA.

Głupiec! właśnie takiego mi potrzeba. Mój kochany,
najprzód trzeba cię nauczyć, jak ty tu stoisz.

TEODOR.

Jak jo stoję? ha! ha! ha! na nogach, na obydwóch nogach.

LUDWIKA.

Cicho, osle! będziesz tutaj lokajem, będziesz brał 2 dukaty na miesiąc.

TEODOR.

Wejcie, jeno dwa dukaty? to niby sześć talarów. Oho! ba i bardzo! mnie mówili, że tu będę brał 3 dukaty czyli dziewięć talarów.

LUDWIKA.

Trzy dukaty, co to ma znaczyć? Ja będę brała jednego dukata dla siebie za to, że ci służbę wyrobiła.

TEODOR.

Ej! ja nie chcę takiej cygańskiej łaski!

LUDWIKA.

To idź precz!

TEODOR.

Ba! jeszcze czego! no, dom aspannie dwa czeskie na miesiąc.

LUDWIKA.

Ty rozumiesz, że ja za darmo od ciebie żądam tego dukata, ja cię za niego będę uczyć służby, a potem z mej łaski możesz na miesiąc dziesięć razy tyle zyskać.

TEODOR.

Dobrze i tak, ale jo z myta nie dam więcej, jak dwa czeskie.

LUDWIKA.

Ty mi się sprzeciwiasz.

TEODOR.

Słuchajno, aspanno, te zyski, co aspanna powiedziała, czy tylko będą bez grzechu?

LUDWIKA.

Ja grzech wezmę na siebie.

TEODOR.

Ej! mościa panno, masz aspanna dosyć odpowiadać za swoje.

LUDWIKA.

Strasznem się pomyliła na tym gawronie. Ty wszystko musisz robić, co ci każe, rozumiesz?

TEODOR.

Ba i bardzo! ja będę robił to, co pani mi każe i co pocziwość pozwala.

LUDWIKA.

Prostaku! ty tu umrzesz z głodu. Nasza pani bogata, nic to u niej nie znać, choćby ją czasem skubnąć.

TEODOR.

Słuchaj, aspauno! Takich rzeczy mi nie gadaj. Ja byłem u naszego dziedzica włodarzem; nasz arendarz namawiał mnie, żebym pana w omłocie oszukał o dwa korce żyta. Kiej mi to powiedział, to jakim żyda palnął w pysk, aż nogami się nakrył, ot tak....

LUDWIKA.

Muszę się go pozbyć! ty zupełnie głupi jesteś, ty się tutaj nie zdasz.

TEODOR.

Już czy ja się tu zdom, czy nie zdom, mniejsza o to ja tu usiedę i będę czekał na panią (*siada*).

LUDWIKA.

Zginęłam! Ale to odemnie zależy.

TEODOR.

Zobaczymy! odemnie też będzie zależało, aby powiedzieć, żeś aspanna mnie namawiała, aby panią oszukać! ha! ha! ha!

LUDWIKA.

I tybyś śmiał?

TEODOR.

Ja na nic nie zważam, ja gotów pójść do pani i powiedzieć: Mościa Pani Dobrodziejko, ta szmata za pani pieniądze (*wskazuje na suknię*).

LUDWIKA.

Ty zuchwalcze!

TEODOR.

Mościa Pani Dobrodziejko, takich faworków służebna z pocziwością nosić nie może.

LUDWIKA.

A ty hultaju! (*na stronie*). Co tu robić z tym prostakiem!

TEODOR.

Trafiłem! (*głośno*). Mościa Pani Dobrodziejko, ta spódnica jest z podszewki pańskiego rubrona, ha! ha! ha!

LUDWIKA.

No, namyśliłam się, że ty tutaj żadnym sposobem zostać nie możesz, wracaj więc do domu i pozdrów wszystkich odemnie.

TEODOR.

Ani myślę, odpocznę sobie, dopóki pani nie przyjdzie.

LUDWIKA.

Jeżeli ztąd nie pójdziesz precz, to pójde po policyanta.

TEODOR.

Ba i bardzo, po policyanta, to ja pójde, ale jak pani powróci, to i my powrócimy.

LUDWIKA.

Al już po mnie, już się nie wykręcę, on wszystko powie, będę odprawiona. Ach! pocóżem Teodora wypędziła?

TEODOR.

Ubierz mnie panna w liberyą.

LUDWIKA.

Ja mam ciebie ubrać w liberyę? Ten mazgaj ma być przyjęty za kamerdynera, który, że ledwie wart być stróżem?

TEODOR (*śpiewa*).

Czemużeś się nie ożenił
Bajtała, Bajtała,

Kiedy ci matusia z córką
Krowę swą dawała.
Czemużeś się nie ożenił
Bartosu, Bartosu,
Kiedy była kworta piwa
Po grosu, po grosu.

LUDWIKA.

O nieba! cóżem ja uczyniła! czemuż chciałam odmie-
nić wolę mojej pani! O! gdybym Teodorka ujrzała, a te-
go gawrona, żeby lichu porwało!

TEODOR (*rzuca ubiór*).

Tak mówisz, niech go wezmą kaci, mówiłaś: o! gdy-
by Teodor wrócił! otóż jestem.

LUDWIKA.

Co widzę, Teodor?

TEODOR (*kłęk*).

Jakże, czy mianowicie na lokaja nie znajdzie już tru-
dności u panny Ludwiki?

LUDWIKA (*podając mu rękę*).

Mianuję cię lokajem pani starościny Tkliwskiej.

TEODOR (*wstając*).

Wiwat! od tej chwili kończy się wojna między nami.
Chciałaś mnie wygnać, abyś sama domem rządziła, otóż,
choć tu będę, rób, jak ci się podobać będzie, rządz,
rozrządzaj—ażebys zaś zupełnego prawa nabyła do wodze-
nia mnie za nos, przyjmij mnie za męża, jeżeli przyrze-
czenie być grzecznym i szanującym cię mężem, znaczy co
u panny Ludwiki, tedy rzeknij słowo a....

LUDWIKA.

Cóż, będziesz grzecznym, będziesz mnie szanował?
(*podaje mu rękę*). Oto ja twoja, a ty mój!

TEODOR.

Wiwat! zgoda! kiedy się dwóch filutów żeni, to wszy-
stkich pocziwych kieszenie drzeć powinny.



Wschód słońca.

Drobnostka dramatyczna dla teatrów amatorskich

— przez —

JERZEGO BELLY.

OSOBY:

Stanisław, Matylda, jego żona. Elżbieta, służąca w oberży.

Rzecz dzieje się w górach szlążkich w domu zajezdnym

Scena przedstawia pokój gościnny. Noc.

SCENA I.

Elżbieta, Stanisław, Matylda.

ELŻBIETA (*wprowadza Stanisława i Matyldę, niosąc dwie świece zapalone*).

Tak, niech się państwo rozgoszczą.... Całogodzinna droga na mułach to niezawodnie doskonale umęczy, szczególnie w nocy, kiedy niepodobna dobrze rozróżnić, czy na prawo czy na lewo można zlecieć do przepaści!.... Ale za to tutaj, z naszej oberży zobaczycie państwo taki śliczny wschód słońca, jaki nigdzie nie bywa.... Angliecy przyjeżdżają tutaj umyślnie, aby to oglądać....

STANISŁAW.

Dobrze, już dobrze....

ELŻBIETA.

Już kto potrzebuje wschodu słońca, to nigdzie piękniejszego nie znajdzie.... Cztery czy pięć dni temu był tu pewien podróżny.... przynajmniej hrabia, albo może i co lepszego.... onby dopiero powiedział państwu, jaki tu śliczny widok!

STANISŁAW.

Zdaje się, że za kwadrans ujrzemy go sami bez opowiadania tego dostojnego podróżnego.

ELŻBIETA.

Tylko niech państwo zwracają uwagę na dwie największe skały; jedna nazywa się Krzywa Magdusia, a druga Łysy Kasperek.... Otóż gdy słońce wschodzi....

MATYLDA (*przerzywa*):

Ale dość już, dość... będziemy przecież widzieli twoją Magdusię i Kasperka!

ELŻBIETA (*odchodząc na stronę*).

Co mi za jacyś państwo, niby podróżują, a o najciekawszych rzeczach w okolicy nic słuchać nie chcą. (*Wychodzi*).

SCENA II.

Stanisław, Matylda.

(Siadają na przeciwnych stronach stołu. Chwila milczenia.)

STANISŁAW.

Jesteś zmęczoną?

MATYLDA (*obojętnie*).

O nie!

STANISŁAW.

Bylibyśmy może lepiej zrobili, gdybyśmy byli zaniechali tej męczącej nocnej wycieczki.

MATYLDA.

Życzenia twoje są dla mnie rozkazem.

STANISŁAW (*urazony*).

Moje życzenia! moje życzenia! Wszakże jeszcze gdyśmy się wybierali w podróż, którą odbywamy, mówiłaś mi, że pragnęłabyś widzieć wschód słońca, w całej jego majestatyczności, w górach, sam na sam ze mną, zdala od sztywnych Anglików i papuziego paplania przewodników. To też dla ciebie tylko zgodziłem się porzucić nocleg wygodny i drapać się po urwiskach aż tutaj, gdzie pomimo gadania służącej o Anglikach, wiedziałem, że nie będzie żywej duszy oprócz nas. Dla ciebie, tylko dla ciebie....

MATYLDA (*zimno*).

Mój Boże! mógłś tego nie robić.. byłabym uwolnioną przynajmniej od wymówki, że dla mnie takie poświęcenie zrobieś.

STANISŁAW.

Matyldo! Już od dwóch tygodni jesteśmy w górach i wciąż mnie dręczysz obojętnością, której przyczynę próżno staram się odgadnąć.

MATYLDA.

Wiesz, że z natury nie jestem skłonna do zachwyca-
nia się niczem.

STANISŁAW.

Mówiłaś zawsze, że pragniesz odetchnąć powietrzem
gór i wzrok nasycić widokiem cudów przyrody, otóż prze-
bywamy okolice najpiękniejsze, jakie wyobraźnia wyma-
rzyć może, a ty rzucasz zaledwie okiem na nie, jakby na
trzyłokciową kupę piasku, albo na zagony ziemniaków.
Doprawdy pojąć nie mogę tego i czuję, że już na wpół
zwaryowałem!

MATYLDA (*złośliwie*).

Zatem w interesie drugiej swej połowy powinniśmy
wracać natychmiast.

STANISŁAW (*z gniewem*).

Matyldo!...

SCENA III.

Ciż sami, Elżbieta.

ELŻBIETA (*wchodząc*).

Może państwo przyjdą na pierwsze piętro.... z góry
lepiej będzie widać.... obłoki już gdzieś gdzieś różo-
wieją....

STANISŁAW (*niecierpliwie*).

Dobrze, dobrze, przyjdziemy tam.

ELŻBIETA.

Niewiele czasu jest do stracenia (*wychodząc*).

SCENA IV.

Stanisław, Matylda.

STANISŁAW.

Zaklinam cię, Matyldo, nie dręcz mnie dłużej. Po-
wiedz mi co ci jest, o co ci chodzi?

MATYLDA.

Sam nie wierzysz w to co mówisz.... o cóżby mi iść mogło przy takim mężu, jakim ty jesteś.... Gdybym się skarżyła na co, czyżbyś sam nie wzruszył ramionami z zadziwienia, że śmiem ci coś zarzucać.

STANISŁAW (*żywiej*).

Matyldo, nie zniosę takiego tonu. Nadużywasz mej cierpliwości.

MATYLDA (*wstaje*).

Groźby?.... o! byłam na nie przygotowaną, dziwię się nawet, że dopiero teraz spada ci maska.

STANISŁAW.

Matyldo.... widzisz, że się wysilam, ażeby panować nad sobą, ale nie żądam odemnie rzeczy nadludzkich.... Błagam cię jeszcze raz, powiedz mi, o co się gniewasz na mnie?

MATYLDA (*z tłumionym gniewem*).

Odpowiem ci twemi własnymi wyrazami: widzisz, jak się wysilam, ażeby być spokojną, że staram się panować nad sobą, ale nadludzkich rzeczy nie wymagaj odemnie.. (*wybuchając*) Obłudniku, którego nienawidzę!

STANISŁAW (*w uniesieniu*).

Matyldo!

MATYLDA (*mówi dalej*).

Którym pogardzam....

SCENA V.

Ciż sami, Elżbieta.

ELŻBIETA (*wchodzi*).

Krzywej Magdusi już się zaczerwieniła czupryna, a Łysy Kasperek....

STANISŁAW.

Dobrze, dobrze, zostaw nas samych.

ELŻBIETA.

Państwo się spóźnia, a to jest takie piękne, że aż strach. (*na stronie*) Musieli się na księżycie dobrze napatrzeć i teraz słońca nie ciekawi (*wychodzi*).

SCENA VI.

Stanisław, Matylda.

STANISŁAW.

Na te słowa, które powiedziałaś, mam tylko jedną odpowiedź. Nie myślę zatrzymywać pod swem jarzmem kobiety, która mną pogardza.

MATYLDA.

A zatem już i rozwód pan przewidziałeś! O, przystaję, przystaję z całej duszy.... zmuszanie się do pańskiej obecności zabiło mnie....

STANISŁAW.

Możesz pani dziś jeszcze odjechać do rodziców, ja pojadę jutro.... adwokat ułoży resztę.

MATYLDA.

Nie będzie mu to trudno, z mojej strony nie napotka żadnej przeszkody.

STANISŁAW.

I ja także będę się starał ułatwić mu pod każdym względem....

MATYLDA.

Tym sposobem jesteśmy w zgodzie.

STANISŁAW.

W zgodzie. A kiedy jesteśmy skazani zabawić tu jeszcze razem, dopóki dzień nie zawita, możemy więc rozmawiać z sobą jak podróżni, których przypadek sprowadził do jednego pokoju, w jednej oberży. Opowiadajmy sobie historyjki. Jabym pani opowiedział powiastkę o pewnej angielskiej kobiecie, która będąc całą duszą przywiązaną do swego męża, w mgnieniu oka zaczęła nim pogardzać.

MATYLDA.

A ja o pewnym godnym małżonku i jego jeszcze go-dniejszym przyjacielu.

STANISŁAW.

Ciekawy jestem.

MATYŁDA (*śladą naprzeciw Stanisławowi*).

Temu potwo.... temu ideałowi było na imię Stanisław. Poznał on na pewnym koncercie....

STANISŁAW.

Na którym wykonywano sonetę Beethovena....

MATYŁDA.

Proszę mi nie przerywać. Poznał pewną młodą osobę, zamienił z nią kilka wyrazów, przypadek chciał, że ją potem spotkał powtórnie.... było to na balu....

STANISŁAW.

W kasynie miejskiem.

MATYŁDA.

Tak jest, w kasynie.... Romans, który opowiadam, był niezawodnie drukowany i miał zapewne wielu czytelników.

STANISŁAW (*żywo*).

Nastąpiłem ci na suknię, ale nie byłem temu winien. To ten niezdolny referendaryusz.

MATYŁDA (*przerywa*).

Opuśćmy zbyteczne dodatki i idźmy dalej.... Obyczajem powieściopisarzy pomijam kilka miesięcy. Wprowadzam czytelnika do wili, otoczonej prześlicznym parkiem. Zastajemy tam małżeństwo, które sobie przed chwilą dozgonną miłość przysięgało. Przed panem małżonkiem leżą książki i mapy.

STANISŁAW.

Był to "Ilustrowany przewodnik naszego kochanego Eliasza o Tatrach" i książka o górach alpejskich w Szwajcaryi.

MATYŁDA.

Marzenia młodej żony miały być nareszcie spełnione, miała ujrzeć te piękne okolice, do których, czytając ich piękne opisy, wzdychała.... ale na cztery dni przed oznaczonym terminem wyjazdu zaszło coś okropnego, coś, co wzburzyło cały gmach jej nadziei. Młoda owa osoba nie należała do tych, które śledzą i podpatrują tajemnice swych mężów, zbyt dumną była na to.... mimowolnie jednak stała się świadkiem rozmowy, którą jej mąż, przypuszczając zapewne, że ona jest w parku, prowadził prawie na głos z pewnym nieznajomym, wyszedłszy z nim ze swej kancelaryi na korytarz.

STANISŁAW.

Korytarz.... rozmowa.... nieznajomy.....

MATYŁDA.

Tak, są to zwykle okoliczności towarzyszące tajemnicy. Twarz tego nieznajomego ubranego w żółty hawelok i wysoki kapelusz, zapamiętała zresztą młoda małżonka tak dobrze, że poznała go w cztery dni potem na dworcu kolei w chwili wyjazdu i tam z oburzeniem dowiedziała się, jakie to zadanie z polecenia jej godnego małżonka ów szlachetny poseł wypełnia.

STANISŁAW.

Poseł.... zadanie.... godny małżonek.... zupełnie nie pojmuję całej tej historii.

MATYŁDA.

To dziwne, doprawdy dziwne, mój panie, bo głównym działaczem całej tej ślicznej komedyi, mój panie.... byłeś ty!....

STANISŁAW.

Nie rozumiem ani jednego słowa....

MATYŁDA.

O! powtórzę panu, coś mówił do tego niegodziwca w żółtym haweloku i wysokim kapeluszu! Były to słowa... słuchaj i oniemiej.... były to słowa: "Wiadomo panu, że są one moją namiętnością, której się wyrzec nie mogę.... więc przez czas mojej nieobecności zajmij się pan niemi i szczególnie pamiętaj o..." Nie, to nad moje siły, tego już nie zdołam powtórzyć!....

STANISŁAW.

Pamiętaj... pamiętaj o czym?

MATYŁDA (*z wysileniem*).

O obu Karclinach! Ach! Boże! ja tego nie przeżyję!...

STANISŁAW.

O obu Karolinach?

MATYŁDA.

Tak nędzniku, o obu... jakby jednej nie było dosyć, żeby mnie do rozpaczki przyprowadzić!

STANISŁAW.

Zdaje mi się, że to ten sen gorączkowy... historia z Tysiąca nocy...

MATYŁDA.

Przed samym wyjazdem na peronie, pokazał się jeszcze raz ten straszny człowiek w żółtym haweloku, dał ci niebieską kopertę i szepnął parę słów do ucha. Ty schowałeś kopertę i z pozorną obojętnością do pugilaresu, nie domyślając się naturalnie, że ja wiem o wszystkim, o wszystkim! (*ptacząc.*) Ach to zdrada! to ohydne!

STANISŁAW (*wybucho śmiechem*).

Niebieska koperta!... peron!... na wszystkie duchy nieba i ziemi!... umrę ze śmiechu!...

MATYŁDA.

Gdy mnie serce pęka z bóleści... Ale! to zimne okrucieństwo jest godnem zakończeniem obłudy.

STANISŁAW.

Lube, drogie dziecko, uspokój się! Zajrzyj do mego pugilaresu, jest tam jeszcze ta nieboraczka koperta, dotąd nie rozpieczętowana.

MATYŁDA (*niedowierzająco*).

Doprawdy nie rozpieczętowana?

STANISŁAW.

Zaklejona szczelnie. Otwórz ją.

MATYŁDA.

Ja? ja? więc mam cię zdemaskować ostatecznie?

STANISŁAW.

Demaskuj, tylko prędko!

MATYŁDA.

A więc!... (*otwiera szybko kopertę*). Dwie marki pocztowe, nic więcej.

STANISŁAW.

I do tego używane! (*świeci jej*). Proszę znajdujące się na nich stemple pocztowe dobrze obejrzeć i odczytać napisy, ale uważnie przeczytać.

MATYLDA (*zgłoskuje*).

N—o—r—t—d North C—a—r—o—l North Carolina!

STANISŁAW.

Tak, tak... Wilmington, Nord Carolina. A na drugiej?

MATYLDA.

S—o—u—t—h South C—a—r South Carolina.

STANISŁAW.

Doskonale. South Carolina.

MATYLDA.

A ten niegodziwiec w żółtym haweloku...

STANISŁAW.

Jest handlarzem marek pocztowych, których posiadam zbiór prawie zupełny. Brakowało mi między innemi Północnej i Południowej Caroliny, więc mu poleciłem starać się o znaczki z tych dwóch stanów amerykańskich... Dostarczył mi ich na poczekaniu... ale od tego czasu pani była tak na mnie zagniewana, że nie miałem chwili swobodnej, aby się zająć (*z przyciskiem*) "tą moją namiętnością, której wyrzec się nie mogę", więc nie odpieczętowałem nawet koperty.

MATYLDA.

Mój Boże! a ja z tego wysnułam taką straszną historię...

STANISŁAW.

A widzisz! trzeba będzie teraz przeprosić "swego godnego małżonka", bo przecież dobra żona, gdy uzna sama, że nie miała słuszności, to...

SCENA II.

Ciż sami. Elżbieta.

ELŻBIETA (*wchodząc spiesźnie*).

Zbliża się do tysego Kasperka!... Prędzej państwo, prędzej!... (*wybiega*).

STANISŁAW (*z komiczną uroczystością*).

Słyszysz, to głos wyroczni przemówił przez tę kobietę!

MATYLDA (*wesóło*).

A więc zbliżam się do ciebie, Łysy Kasperku... przebac mi, przebac!

STANISŁAW.

Przebaczam ci, aniele, ale niechaj już nigdy nie będzie cienia podejrzeń.

MATYLDA.

O! nigdy! nigdy! a gdyby zresztą kiedy pojawiły się, to pamiętaj o tem, że wszelkie cienie rozprasza...

ELŻBIETA (*ukazuje się we drzwiach*).

Wschód słońca. (*Zasłona spada*).



Cyganki.

Komedyjka w jednym akcie,

przez

PAULINĘ Z L. WILKOŃSKĄ.

OSOBY:

Stach, dworski parobek. — Różia, jego żona. — Bartek, brat Rózi. — Halka. — Basia. — Marysia. — Pieško, parobek. — Cyganka 1. — Cyganka 2. — Wieśniacy.

Rzecz dzieje się w chatce Stacha.

SCENA I.

Izdebka schludna, pod ścianą stoi skrzynka.

RÓZIA (*siedzi nad przęślicą, za sceną słychać skrzypki.*)

Słychać skrzypki na wsi: będą obchodzili dożynki, będą tańcowali na dziedzińcu, skakali, aż do północks chybą. Pan ich ucztuje piwem, owocem, kołaczami, pohulają sobie. Ale ja z niemi nie pójdę. Co mi tam!... Co mi tam za zabawa! (*kiwa pogardliwie głową.*) Pan Staśka lubi, toć prawda, dał nam ot tę chałupkę, niezgorszą Bogiem a prawdą, aleć to nie domostwo gospodarza Jędrzeja, oj nie! Co nie, to nie! Tam gdzie spojrzeć, aż się w oku zaświeci: ściany bieluśkie, dach gładziuchny, okna i drzwi pomalowane czerwono, a ja co mam? Ot, strzechę, chałupę zwyczajną, mój Boże, mój Boże! (*składa ręce i smutno pokiwując głową.*) Dałci pan i krowinę Stachowi; ależ Bietka, co razem ze mną rosła, a potem poszła za gajowego, przecież trzy ma krówki, co mi tam jedna! Mam ja już i cielátko, ładne, graniaste, ale cielę to nie krowa. Co mi tam! A Kubiczowie, gospodarze, to aż cztery krowy mają, dwa cielątka, ba, już teraz jałówki, sześć świnięk, parę koni, a drobiu to i nie naliczy! Jadą też sobie zawsze porządnym wozem do kościoła, a ja, ot, muszę iść piechotą. A przecież i na jarmark sobie pojadą

i na odpust tu i owdzie, a ja, mój Jezu, siedzę i siedzę, i człek ani użyje świata! (*wspiera się zadąsana na przęślicy i siedzi zamyślona*). Jaśkowa, jaką to w przeszłą niedzielę miała piękną spódnice, iście gdyby woda, taka czysta, a w niebieskie kwiatki i fartuch jedwabny, kitajkowy i chustkę, niby jaka szlachcianka, czerwoną ze szlakami, jak gdyby były żywe! A co ja mam? Nic! Parę szmatów niezgorszych i kwita; spódnice czerwoną i zieloną i granatową i białą; żupanik w prążki muslinowy i znowuż w niebieskie prążki, i gorset jeden z granatowego sukna, drugi zielony kamlotowy, ale co to znaczy!... Jędruchowa wcale inny ma przyodziewek. Staśko dostał od pana pieniądze i kupił mi ładną chustkę w kwiaty, wełnianą, jak organiściny, i czepiec i wstęgę czerwoną. Ale co tam! Jejmość matka naszego pana podarowała mi też sukna cienkiego na kaftan za to, żem piastowała dziecię pańskiej siostry, jak tu była na święta, dostałam korale, (*wskazuje kilka sznurów korali, które ma na szyi*.) Ale, co tam sukno i co tam korale! Mnie żadno czego innego.

SCENA II.

(*Wchodzi dwie cyganki i mówią razem:*)

Dobry wieczór, szczęść Boże, jasna gosposiu.

RÓZIA.

Dobry wieczór! A zkądże Bóg prowadzi?

CYGANKA 1.

Od Ryczywoła, jasna gosposiu.

CYGANKA 2.

Chciałybyśmy wam przynieść wesele, gosposiu, dostatek i dobytek i wszelką szczęśliwość serca. A przyszyła nas do was gospodyni Marcinowa, ot tam z drugiego końca.

RÓZIA (*porywa się z radością*).

Marcinowa? Oj to! Czy wam mówiła, czego ja chcę?

CYGANKA 1.

A jużci. Przecież gadaliście jej nieraz, że chcecie, aby wam powróżyć, jasna gosposiu.

RÓZIA.

Ej, nietylko to! Ale słyszałam, że są pomiędzy wami takie, które wszelki zły urok odpędzić umieją, a potrafią sprowadzić dostatki i majątek.

CYGANKA 2.

A jakież to chcecie dostatki, miła gosposiu?

(Cyganki dają sobie znaki potajemne.)

RÓZIA.

Jużci chcę mieć ładne domostwo, ogród, gdzieby rośla marchew, cebula, pietruszka; kapuśnik z głowiastą kapustą, sad z gruszkami, śliwkami, a prawdziwemi węgierkami; rolę, łączkę, stodółkę, chlewiki, kilka krowin, a jedną graniastą, i cielątka i ładne koniki, porządny wózek, albo ot, lepiej bryczułkę, jak wej Wojciechowcie w Kobylnicy; i ładne szmaty; i kapotę z futerkiem na zimę, oblamowaną, wyszywaną i dla Stacha cały przyodziewek. Wszak wy potraficie to, cyganki jedyne, żeby oj tak wszystko kapało, gdyby z deszczem?

CYGANKA 1.

Ha! zobaczymy, jasna gosposiu. Już to parę razy nam się udało, bośmy właśnie na szczęśliwą godzinę trafiły.

RÓZIA *(klaszcze w dłonie radośnie.)*

Udało się! Mówiła mi o tem Marcinowa. Udało się! a może też i dziś, oj! na szczęśliwą traficie godzinę. O, moje kobieteczki kochane *(głaszcze jedną i drugą)*, jużbym o was przez całe życie moje pamiętała. A chcę mieć i na pościółkę schludne okrycie i szafę ze szkłem czerwoną, i zwierciadło, jak u pani ekonomowej, i rądelków parę, jak to w dworskiej kuchni, i kociołek, i...

CYGANKA 1.

No spróbujemy, spróbujemy, jasna gosposiu, może się uda.

RÓZIA.

Uda się! uda! Tak mi coś szepce. O moje cyganki jedyne!

(Cyganki mrugają na siebie.)

CYGANKA 2.

Więc najprzód pięknych sukien chcecie, miła gosposiu?

RÓZIA.

A jużci, bo człek nie ma co na się włożyć.

CYGANKA 1.

To nam podajcie na pokaz najlepsze szmaty wasze, abyśmy je zamówiły i szczęśliwego przyczyniły uroku.

RÓZIA (*otwiera skrzynkę i wydobywa z niej rzeczy.*)

Otóż macie spódnice, fartuchy, chusty, kaftan z cienkiego sukna....

CYGANKA 1.

I chcecie pięknego domostwa nowego?

RÓZIA.

A jużci, boć to tylko chłopskie.

(*Rusza ramionami pogardliwie.*)

CYGANKA 1.

Toż idźcie gosposienku pod strych i przynieście mi garstkę słomy z dachu, bym i na nią szczęśliwy rzuciła urok, abyście zawsze pod nowym ładniuchnym mieszkali dachem.

RÓZIA.

Zarusieńko, zarusieńko, kobieteczki jedyne. Pod samusienek strych poskoczę. (*Wybiega pośpiesznie.*)

SCENA III.

(*Dwie Cyganki.*)

CYGANKA 1.

Wyjrzyjno, gdzie poszła.

CYGANKA 2. (*uchyliwszy drzwi.*)

Oj, het na górę.

CYGANKA 1.

To zwijajmyż się co ducha. Dalejże! dalej!

(*Zabierają rzeczy i uciekają.*)

SCENA IV.

RÓZIA.

Niosę, niosę garść całą. Ale gdzież cyganki? (*ogłąda się w okoto.*) Gdzie moje szmaty wszystkie? Skradły! uciekły! ratujcie! gońcie! (*wybiega.*)

SCENA V.

(Słychać śpiewy po za sceną.)

(Halka i Marysia.)

HALKA.

A gdzie Różia?

MARYSIA.

Poszła pewnie nie daleczko, kiedy izba była otwartą, toć i nadejdzie.

HALKA.

Ale już chyba i czas do domu.

MARYSIA.

Dopiero się zbierają. Pieśko jeszcze basetlisty nie sprowadził.

HALKA.

To i poczekajmy na Rózię.

(Siada przy prześcicy a Marysia opadał na ławce.)

HALKA *(oglądając się.)*

Jaka też to schludna izdebka, Panie Boże, daj każdemu taka! Nie zacieka, kominek gdyby ułał, piecyk nie dymi, okienko widne, jest i podłoga i komórka ze zamknięciem i dotek do schowania tego i owego, mój Jezu kochany!

MARYSIA.

I wszystkiego mają pod dostatkiem i Różia pracować nie potrzebuje: szczęśliwa jej dola! Boć też to Stasisko pocziwy a porządny parobek i pracowity i dbały o wszystko, to go też pan lubi i dobrze im się wie dzie.

HALKA.

Z niego człek dobry i nie leni się do niczego, ale Różia, dziewczuszka kochana, Różia ma muchy w nosie, *(kiwa ręką i pokręca głową)* oj, powłaziły jej, powłaziły! Wszystkiego jej się czegoś zachciewa, niby jakiej pani, i z niczego nie kontenta. Panie Boże uchwaj!

MARYSIA *(z przekąsem.)*

A jeszcze jej Marcinowa głowę zawraca.

HALKA.

Jużci prawda! Boć też to filut baba, (*podnosi palec do góry*), filut na czem świat stoi, mówię ci, dziewucho.

MARYSIA.

Alboż ja tego nie wiem? Dogaduje Rózi, dogaduje, a ta ją za to anyżówką, to piołunówką, to pestkówką uczęstować musi, jeno ją psuje i zawraca myśli.

HALKA.

A Rózi i tak już niczego nie dosyć.

MARYSIA.

Zwyczajnie kto ma wiele, jeszcze więcej pragnie. Pewnie ona idzie (*oglądając się*).

SCENA VI.

Marysia, Halka i Basia (wbiegająca szybko.)

BASIA.

A gdzieżeście się podziały, dziewczęta?

MARYSIA.

Czekamy tu na Rózię.

BASIA.

Już prawie zeszli się wszyscy, a przede dworem, już tam zastawili i piwo, owoce i kołaczki; pono i sama jejmość, matunia naszego pana, przyjechała z Korytnicy.

HALKA (*uderza w dłonie radośnie.*)

O, dziękiż Bogu! to nam znowu da po wstędze jak łońskiego roku.

MARYSIA (*powstając*).

Zawszebyś chciała!

HALKA.

Ależ, bo to dobra, kochana pani! A pamiętacie, kiedy Szymonowie pogorzeli, co to im nadawała wszystkiego?

BASIA.

I kiedy Jagula szła za mąż, to dostała opatrzenie, gdyby od matki rodzonej.

MARYSIA.

Dobra pani, ani słówka! Boże daj jej niebo.

HALKA.

Już też, bo i Jaguła służyła jej lat tyle, a to pracowała i pocziwa dziewczucha.

BASIA.

Chwalicie jejmość, a nie nie mówicie o paniczku, a to przecież jej syn urodliwy.

SCENA VII.

Basia, Halka, Marysia, Bartek.

BARTEK.

A to co? Zasiadziały się tutaj, bajdurzą sobie, a my tam czekamy. Już i Pieśko kulawego Janka przyprowadził z basami.

MARYSIA.

Czekamy tu na Rózię.

BARTEK.

A gdzież się podziała?

HALKA.

Jużeśmy jej nie zastali.

BASIA I MARYSIA.

Idzie! idzie!

SCENA VIII.

Halka, Basia, Marysia, Bartek i Różia.

RÓZIA *(płacze i załamuje ręce.)*

Nie masz, nie masz ich nigdzie! Biegłam za nimi przez łąkę, bo mi mówił Maciuś, że tędy biegły, ale uciekły! uciekły! o, ja nieszczęśliwa!

MARYSIA, HALKA, BASIA *(obstępują ją.)*

Co się stało? Co to? Czegoż wyrzekasz?

RÓZIA *(z wybuchem płaczu.)*

Cyganice mnie okradły! oszukały! zrabowały!

DZIEWCZĘTA.

O, hultajki, o ladaco!

HALKA (*biorąc ją za rękę*).

Ale jakżeż to było?

MARYSIA (*chwytając ją za drugie ramię*)

Chyba ciebie w domu nie było?

(*Róża płacze.*)

MARYSIA.

No gadajże.

BARTEK.

Mówże przecie, bo człek ani wie, jak ci poradzić.

RÓZIA (*łkając*).

Miały szczęśliwego przyczynić urokul... bym miała dostatki... i czego tylko zapragnę...

BARTEK (*śmiejąc się*).

Ot śliczne masz dostatki; pustą skrzynkę!

HALKA (*do niego*).

Dajże jej pokój, Bartku!

BARTEK.

Oj głupie, głupie kobiety! Dziękujcie Panu Bogu za to co macie, a w żadne nie wdawajcie się czary, boć to są sprawy czartowskie.

RÓZIA (*płacząc*).

Mam też teraz za swoje... i ta Marcinowa!

BARTEK.

Po co było nadstawiać ucha tej starej pokusie? Cała wieś już poczęła gadać, że i ciebie wykieruje na takie licho, jakim ona jest sama. Masz teraz! płacz, szlochaj, dobrze ci tak!

MARYSIA (*do Bartka*).

Ależ Bartku! Bartku! ona już dosyć sturbowana, biedaczka.

BARTEK.

Po cóż jej tam z cygankami jakieś konszachty i czary. Nasz dobrodziej natarłby jej uszów za to dobrze. Gdyby takie cyganice umiały napędzić dostatków, tożby same dla siebie najpierw zrobiły i nie tułały się marnie po świecie, bez odziewku i o żebranym albo kradzionym chlebie. Oj głupia, głupia kobieto!

MARYSIA.

To też ukarana srodze nieboga.

SCENA IX.

Halka, Basia, Marysia, Bartek, Różia, Stach.

STACH *(niesie tobole rzeczy i rzuca je na stół.)*

Ot masz! A podziękuj Panu Bogu, żeś wszystkich szmat nie postradała.

RÓZIA *(dobiega i ogląda z radością, wszyscy ją otaczają.)*

O moje sukienki! o moje fartuszki! o moje chusty kochane; mój Jezu, mój Jezu, przecież mi się wróciły!

BARTEK.

To istne szczęście i Opatrzność Boża! Jakżeś ty odzyskał te szmaty?

STACH.

Widzisz człeku, ot tak. Jechaliśmy z panem przez pole, a tu mignę cyganice z tobolem. Pan mówi: "Pewnikiem te włóczęgi co we wsi pokradły, gońmy za nimi!" Jak też zatnę konie, jak popędzę, to jeno świszczą za nami. Dopędzamy urwiszów, i ja ot od razu poznaję szmaty mojej Rózi. Boć przecie je znam i wiem *(wszyscy mu potakują)*. Nuż więc na nie! O, wy hultajki! oj wy złodziejki! A cyganice się tłomaczą, że im kobieta sama wszystko oddała, bo żąda piękniejszych sukien; *(Różia twarz fartuchem zakrywa)* że one mają szczęśliwego przyczynić uroku; że kobieta moja chce domostwa nowego, roli, ogrodu, sadu, bydełka, koników i Pan przenajświętszy wie, czego tam wszystkiego! Al raczej wie licho, istne licho, boć to jeno złe duchy takie podszeptują zachcianki, a człeka pocziwego aż mrowie przechodzi. Pan kazał cyganicom rzeczy odebrać i nakazał surowo, by we wsi nie pokazywały się więcej. Gdyby nie pan nasz, wszystko byłoby przepadło.

RÓZIA (*załamuje ręce*).

Mój Boże! mój Boże! Co to ja za głupia kobieta by-
łam. Daj Boże zdrowie naszemu panu.

STACH.

To więc widzisz. Nie żądaj nad miarę i kontentuj
się tem, co masz z Bożej woli. Módl się i pracuj. Dzię-
kuj Bogu, że nam dał pocziwego dziedzica, co dba o
naszą dolę —

(*Słychać Krakowiaka po za sceną*).

A teraz, oj, zaśpiewajmy sobie i ponieśmy plon do
domu.

(*Stawając przed Rózią, śpiewa:*)

Dziękuj Panu Bogu za to czem cię darzy,
Pomódl się i pracuj — tak uczyli starzy.

BARTEK (*także do Rózi:*)

Chodź kole swojego, miej starunek w domu,
Bądź wesolej myśli, nie zajrzyj nikomu,
Bo kto więcej żąda, jak ma z woli Bożej,
Utraci co dostał, a smutków przyspoży.

RÓZIA.

Znać mnie złe skusiło, zbytków się zachciało,
To mnie też za chciwość dobrze nakarało.

SCENA X.

*Halka, Marysia, Basia, Bartek, Różia, Stach, Pieśko (a za nim
gromadka wieśniaków).*

PIEŚKO.

Kajżeż u licha wszyscy siedzicie? Czekamy, a cze-
kamy, i Wojtek zyzoli i Tomek rzempoli, cała gromada
wyśpiewuje, a was nie widać i nie widać! Ślicznie mi
tu, oj, sobie zasiedli, gwarzą sobie, niby o żelaznym wilku,
a ludziom pocziwym czekać kazali.

WSZYSCY.

To więc chodźmy, chodźmy!

HALKA (*wysuwa się naprzód i śpiewa:*)

Zboże już pożęte, ziarno wymłóćimy,
By je spożyć zdrowo, Boga uprosimy.

MARYSIA.

Zaniesiem do dworu obfity plon z pola;
Złote kłosy zbierać, szczęsna czeka dola.

STACH.

Uprawiajmy zagon, kochane chłopczęta,
Kto pracować lubi, o tym Bóg pamięta.

WSZYSCY.

Uprawiajmy zagon, kochane chłopczęta,
Kto pracować lubi, o tym Bóg pamięta.

(Zastona spada.)



BATOŻEK.

KOMEDIA W DWÓCH AKTACH,

ułożona na tle życia Kościuszki

— przez —

A. KORZENIOWSKIEGO.



OSOBY:

Antoś i Funia, dzieci siodlarza Jana. **Tomaszek, Karolek, Tadzio i Zosia**, dzieci rzemieślników i mieszczan. **Marcelek**, syn bogatego obywatela.

Rzecz dzieje się w Warszawie r. 1794.



A K T I.

Sklep siodlarza Jana biedny, opuszczony; kilka rzemieślnych rzeczy, okrytych pyłem, wisi na kołkach. Antoś siedzi przy warsztacie i plecie batożek.

SCENA I.

ANTOŚ (*przerywając robotę*).

Nigdy go nie skończę, ręce mi drżą, jak we febrze. Bez tatki rady sobie dać nie mogę. Mój dobry Boże! czemu mnie już wielkim nie zrobisz? Czemu ja nie tak silny i nie tak zręczny, jak nasz czeladnik, co nas opuścił, porzucił? Dałbym wszystkiemu radę! O tatce ani słuchu, od kiedy namówiony przez pana majstra Kilińskiego wyruszył z sąsiadami do Kościuszki. Grosza nie ma w domu... Matula chora...

(*Po chwili*).

Kiedy ja ten batożek skończę?... Panicz, co go każał upleść, ma dziś przyjść po niego i zapłacić. Jak zobaczy niezdarną robotę, gotów nie wziąć i pieniędzy nie

dać! Matko Boska! pomóż mi! Ja nie dla siebie, ja dla mej matuli proszę. O Matko Boska nasza.

(Pracuje gorliwie. Wchodzi Funia i na palcach zbliża się do Antosia).

SCENA II.

ANTOŚ i FUNIA.

ANTOŚ *(sposstrzegając Funię).*

A co matula?

FUNIA.

Śpi teraz.

ANTOŚ.

Chwała Bogu.

FUNIA.

Za wszystko Bogu chwała, jak nas matula uczyła. Ale jaki to sen, pożał się Boże! Twarz blada, oczy niezupełnie zamknięte; rękami rzuca, czasem je jak do modlitwy złoży i krzyż w powietrzu zrobi, jak to nad naszymi głowami zwykle czyni.

ANTOŚ.

Kochana matula!

FUNIA.

Gdzieś tam serce jej cierpi, nie śpi i czuwa nad nami; bo przemówi we śnie czasem, a głos taki słodki, taki słodki, że oglądam się na obrazek, czy to nie Częstochowska przemówiła. W niebie tylko taki głos być może! Jak powie przez sen: Funiu! Antosiul! to mi łzy gwałtem do oczów się cisną i szlochać się chce, a boję się i uciekam do ciebie *(płacze)*.

ANTOŚ.

Nie płacz, Funieczko! Bóg taki dobry, tata i matula tacy poczcwi, toż i oni mają zapewne łaskę u Boga. On nas i ich nie opuści. O! widzisz, nie łaskaż to z nieba, ja co nie umiałem przy tatce nic zrobić, teraz patrz... *(pokazuje jej batózek)* jaki siarczysty batóg plotę. Matuli mej pracy potrzeba, to Bóg mnie pracować nauczył.

FUNIA.

Tem bardziej mi smutno. Widać ja nie mam łaski u Boga, kiedym do niczego, kiedy ani tobie, ani matuli pomódz nie mogę w niczem.

ANTOŚ.

Grzech tak mówić, Funieczko! A któż ciebie nauczył, jeżeli nie Pan, abyś, jakby już dorosła, tak czuwała, tak pielęgnowała chorą matulę. Ty nie śpisz, modlisz się! na skinienie matuli jesteś ciągle; ja nie śpię i pracuję. Jak ojciec powróci, powie: Dobre dzieci?

FUNIA.

Ale kiedy powróci i czy powróci?

ANTOŚ.

Jeszczeby! A czemużby nie miał powrócić?

FUNIA.

A jak go Moskale gdzie zabijają?

ANTOŚ (*zrywa się od warsztatu*).

Jak to być może, żeby Moskal mógł Polaka zabić!! Wszakżeś widziała, jakto oni uciekali, gdy we wielki czwartek pan majster Kiliński i różni rzemieślnicy ich z Warszawy pędzili! A tatko teraz przy panu Kościuszcze, co to powiadają ma takie czary, że z każdego człowieka żołnierza zdolnego robi, a wszystko, co pod ręką ludziska mają, w broń niezwalczoną zamienia.

FUNIA.

Słyszałam o tem. Ale nim tatko powróci, matula bez pomocy, a taka chora! Nuż jej się uprzykrzy i odejdzie do Boga!

ANTOŚ.

Wstydź się Funiu! Matula nie zechce dzieci swoich opuścić.

FUNIA.

Biedni my, biedni, i matula i my! Już od wczoraj kawałka chleba nie ma w domu; leków dla matuli niemal!

ANTOŚ.

A zapomniałaś, co ksiądz od fary nam mówił: "Kogo Pan Bóg stworzy, tego nie umorzy". Nie płacz Funieczko! Przecież ja mężczyzna. Nie dam zginąć wam. Ot (*bierze batożek*) batożek ukończę; panicz przyjdzie, bo obiecał; zapłaci dziesięć złotych i będziemy mogli tego ziela kupić, co doktor powiada, że podźwignie matulę z łóżka.

FUNIA.

A może, może ten panicz, gdy zobaczy, że my tacy biedni i tacy mali przy matuli chorej pracujemy, to przyrzuci co jeszcze i cytrynę dla matuli będziemy mogli kupić.

ANTOŚ.

I to być może, ale to niepewna. Bogaci nie wiedzą, co nędza, co bieda, gdzie im jeszcze myśleć o nas! Ale gdy bardzo kontent będzie z batożka, to może co na piwo mi da: bo to podobno już ich zwyczaj taki, kiedy zadowoleni z biednych, to dają im pieniądze na napój.

SCENA III.

*Ciż sami: KAROLEK, TADZIO, ZOSIA, TOMASZEK.
(Wbiegają z krzykiem i hałasem).*

ZOSIA.

Funiu! Funiu!

KAROLEK.

Chodźcie! chodźcie!

TADZIO.

Tylko prędko! prędko! Bo przejdą — nie dogonimy!

TOMASZEK.

Śliczności! Śliczności! Chodźcie! Chodźcie!

ANTOŚ.

Dokąd? po co?

FUNIA.

Nie hałasujcie! Matula chora, obudzicie ją. Nie hałasujcie!

TADZIO.

Teraz wszyscy zdrowi być powinni!

FUNIA.

Cicho, Tadzio! Wszak i ty kochasz swoją matulę i płakałbyś, gdyby jej ktoś przykrość zrobił.

ANTOŚ.

Ależ mówcie, tylko nie tak głośno, czego biegacie po ulicach? Co się stało? Czegoście tacy zadowoleni?

ZOSIA.

Nasi idą! nasi przyšli! I mój tatko, i twój i jego — wszyscy.

ANTOŚ I FUNIA.

A nasz? a wasz?

ZOSIA.

A i wasz jest zapewne. Ale gdzie tam na kogo pa-trzeć, kiedy na siebie oczy zwraca ten, co na przodzie je-dzie. Chodźcie, chodźcie! Zobaczycie Kościuszkę.

TADZIO.

Jaki konik tęgi pod nim! Idzie, jak na powietrzu, oczy mu świecą, rozgląda się po ulicach, ale to jak czło-wiek! Uszami strzyże i ciągle parska, a ludziska wrze-szczą: "Na zdrowie! na zdrowie"! Ogon jak czub! A ta-ki śliczny, że u żadnej pani na głowie takiego nie wi-działem.

ZOSIA.

Konik piękny, dzielny, żywy — prawda. Ale on na nim jeszcze piękniejszy! On? Ach! Funiu, on taki—taki, że mimo woli do Boga się wzdycha, aby do niego tatko lub brat był podobny.

TOMASZEK.

Bo szabla brzęczy! Bo to ładownica na nim połyska! Bo to czapka na bakier, zdaje się ot, ot w górę polecie! A ostrogi świecą u butów. Gdy się poruszy, to i wojsko ten sam ruch powtórzy. Gdy skinie, to się wszystko wojsko i lud pochyli. Jak to kiedyś widziałem na polu kłosa się chyliły, gdy wicher przeleciał.

ZOSIA.

A jak patrzy! jak patrzy na nas, na cały lud, co się ciśnie mu do nóg! Tak patrzy, jak kiedyś widziałam, mój starszy brat na swoją narzeczoną patrzył, gdy szli od ślubu. Gdyby ludzie tak ciągle na siebie patrzeć mogli, to pręd-koby wszyscy ze szczęścia pomarli i staliby się aniołami.

ANTOŚ I FUNIA.

To pewno Kościuszek! Pewno Kościuszek!

TOMASZEK.

A jużci nie kto inny. On tylko jeden może być tak od wszystkich kochany! Czy wy wiecie, że gdy on stąpa po kraju, to ludzie mu, do orszaku, jak z pod ziemi rosną; każdy rzuca dom żonę, dzieci...

ZOSIA.

Bo on ich do dobra wszystkich prowadzi.

FUNIA.

I nasz tatko tak mówił, kiedy nas porzucał; bo powiedział, że my i matula i tatko nawet to nie, gdy o wszystkich chodzi.

TOMASZEK.

Mówią, że on czarodziej, pan Kościuszko. Że ma takie dwa słowa, że jak je powie, to wysokie się chyli a niskie wyrasta. Poczekaście, przypomnę sobie...

WSZYSTKIE DZIECI.

Przypomnij, przypomnij i powiedz! To i my taką moc mieć będziemy, jak Kościuszko.

TOMASZEK.

Ojczyzna i ofiara!

KAROLEK.

A toż to nam powtarzać te wyrazy jak pacierz, bo mój tatko tłumaczy, że chociaż trudno, abyśmy Kościuszkami byli wszyscy, ale te wyrazy złożą z nas siłę, którą pan Kościuszko wojuje.

WSZYSTKIE DZIECI OPRÓCZ FUNI.

Chodźmy krzyczeć około niego te czarodziejskie słowa. Chodźmy, chodźmy!

(Wybiegają ze sklepu. Antos porzucił batożek i za niemi chce wybieść).

SCENA IV.

ANTOŚ i FUNIA.

FUNIA *(zatrzymuje brata).*

A tyś zapomniał, że tatko do tych wyrazów pana Kościuszki dodawał trzeci jeszcze: Poczciwość!

ANTOŚ (*spiesząc*).

Nie zapomniałem, nie. Puszczajże, niech to przypominę kolegom!

FUNIA.

Ale czy sam będziesz poczciwy, jak porzucisz matulę, batożka nie dokończysz, ziela dla matuli nie kupisz?

ANTOŚ.

Ależ Funiu — To Kościuszko!

FUNIA.

Gdybyś był dorosłym, jak tatko, to jabym ciebie nie zatrzymywała, jak matula ojca nie zatrzymywała.

ANTOŚ.

Tyś mądra dziewczyna, Funiu, i poczciwa bardzo. Dziękuję tobie i kocham cię jeszcze więcej. Idź do matuli, ja zostanę przy batożku, bo to obowiązek, a obowiązek to godność nas, biednych ludzi. (*Funia wychodzi*).

SCENA V.

ANTOŚ *sam*.

ANTOŚ (*pracuje i kończy batożek*).

Przecie! Jakoś mi poszło dobrze. Widać Bóg nagrodził, żem się przyjemności wyrzekł. (*Trzaska biczkiem*). Tęgo! ślicznie! Chyba ten panicz bardzo wymyślny, gdy nie będzie zadowolony. Aż żal ten batożek oddawać. Oj, tobym nim sztuk dokazywał. Aj! aj! Gdybym ja był na miejscu tego panicza, a dla mnie kto biedny taką przyjemność zrobił, dałbym mu.... dałbym.... aż dukata i jeszcze kilka groszy. Już i nasz dawny czeladnik nie lepszego by nie sporządził. Batog na urząd, co się zowie! (*Po chwili*). Możeby teraz mógł pójść do pana Kościuszki? Co? A nuż pójdę. Bo nasze przekupki powiadają, że do takiego człowieka i pomodlić się nie grzech. A pójdę. (*Po chwili*). Nie. Lepszą mam rozrywkę. Pójdę zobaczyć matulę; może się obudziła, może mi co powie dobrego, że aż wyrosnę! (*Wchodzi do pokoju matki*).

SCENA VI.

MARCELEK, *później* ANTOŚ.

MARCELEK (*wchodzi w czapkę, rozgląda się i czapki nie zdejmuje*).

Nikogo nie ma. Jak tu brudno. Wszędzie zawalać

się można. Wszyscy ci rzemieślnicy jacyś niegrzeczni ludzie. Zapach przykry — coś czuć! Nikt nie przychodzi... Cóż to? Czekać na siebie każą? Zawołam lokaja, aby ich odszukał i powiedział im, że źle służą i już nigdy roboty im nie dam. A może sam krzyknę... (*woła*) Hej! jest tam kto?... hej!

ANTOŚ (*wybiegając z pokoju matki*).

Niech pan tak nie krzyczy.

MARCELEK.

A ty jak śmiesz mi rozkazywać?

ANTOŚ.

Ja proszę tylko. Matula nam chora i spoczywa, ot tam w komorze.

MARCELEK.

To mógłbyś grzeczniej prosić.

ANTOŚ.

Co, to panicu, grzeczniej? Tatko mi mówił, że prawda zawsze grzeczna, a to prawda, że matula chora i że panicz tak wrzasnął, że aż mię ciarki przeszły, aby matula się nie obudziła.

MARCELEK.

Batożek gotów?

ANTOŚ.

Gotów, proszę panicza.

MARCELEK.

Pokaż go.

ANTOŚ.

Oto jest. Staralem się koło niego, aby mi panicz darmo nie płacił. Swiszczy siarczyście! Trzaska jak z pistoletu! Niech panicz spróbuje. (*Podaje batożek Marcelkowi*).

MARCELEK.

A jakie brudne ręce! Mógłbyś je umyć, kiedy masz co komu podawać.

ANTOŚ.

Nie miałem czasu się opłukać, tylko co skończyłem robotę. Niech panicz spróbuje.

MARCELEK (*próbując batożka*).

Batożek dobry. Trzaska wyśmienie, świszczy nie źle. Ale żeś był niegrzeczny dla mnie, więc go nie wezmę.

ANTOŚ (*przestraszony*).

Ach! paniczu mój złoty!

MARCELEK.

Na drugi raz będziesz miał rozum.

ANTOŚ.

Mój paniczu najmiłszy!

MARCELEK.

Będiesz wiedział, co grzeczność.

ANTOŚ.

Będę, będę paniczu! Przepraszę, jak zechcesz. Do nóg upadnę. Tylko weź robotę. Tylko zapłać mi za nią.

MARCELEK.

Dobrze u nas mówią, że ci biedni bardzo na pieniądze chciwi. Wstydź się!

ANTOŚ.

Prawda. Chcę tych kilka groszy; to pierwsze moje zapracowane. Tatko mówi, że pierwszy grosz zapracowany, to pierwsze błogosławieństwo Boże. Ja chcę mieć swój zarobek.

MARCELEK.

Chcę!? No, proszę! On mnie rozkazuje! Obedrzeć gotów!

ANTOŚ.

Ależ to na ziele dla chorej matuli! Ależ ona umrze, jak ja tego ziela nie kupię! O! mój paniczyku kochany! Łaj mnie, wymyślaj, uderz, jeżeli zawiniłem, ale nie odprawiaj zapłaty. Tam matula słabuje, Funia tam płacze, a ojca nie ma, nikogo nie ma.

MARCELEK.

A co mi do tego? Byłeś niegrzeczny, muszę cię rozumem nauczyć. Tatko powiada, że my was wychowywać powinniśmy.

ANTOŚ.

Srebrny, złoty, dobry paniczul! Ja całe życie wdzięczny ci będę! Ja się modlić za ciebie nie przestane! I matula moja, jak oprzytomnieje i podniesie się z choroby, za was i za waszą matulę prosić Boga będzie. O! mój paniczul! *(kłęka przed nim)*.

MARCELEK.

Dałem sobie słowo honoru, że batożka twego nie wezmę, muszę dotrzymać *(rzuca mu pod nogi batożek)*. Bywaj zdrów. — A na drugi raz grzeczniejszym bądź.

(Marcelek wychodzi. Antoś jak ośupiaty kłęczy przez chwilę).

SCENA VII.

ANTOŚ sam.

ANTOŚ *(zrywa się)*.

Pan Bóg większy pan od ciebie! Pan Bóg lepszy od każdego pana! Pan Bóg ma więcej pieniędzy od bogatych — niech tobie nie pamięta! Nie kochasz ty zapewne swej matuli, kiedyś mojej poratować nie chciał. Idźże sobie. Prawda, nauczyłeś mnie rozumu. Teraz wiem, że tylko Bóg dobry sierotom i biednym nic nie odmawia. Niech się tylko pomodłę, a zobaczysz, że mimo ciebie On mnie pocieszy i poratuje.

(Chwilę milczy, jak gdyby się modlił. Za sceną słychać ruch ludzi i okrzyki: "Niech żyje pan Naczelnik"! Antoś na te odgłosy jak gdyby się ocknął).

Wszyscy biegna, krzyczą, weseli. radzi! Pójdę między ludzi, tam takie szczęście, że jak kogo o co poproszę, pewnie mi nie odmówi. Tam ich tylu, a wszyscy podobni do mego ojca. Jak im opowiem, to przybiegną. Jak wyciągnę rękę, dadzą jałmużnę. *(Idzie i zatrzymuje się nagle)*. Nie, tatko mówił, że człowiek zdrów i silny nie ma prawa żebrać. Mówił też, że tylko praca ratuje *(chwyci za batożek)*. A to moja praca. Niech mnie ratuje. Jam płakał, gdy spletałem ciebie. Ratuń mię. *(po chwili)*. To Bóg mi myśl zsyła! Pójdę. — A nuż ten Kościuszkó spojrzy na mnie tak, jak Zosia mówiła, wtedy tyle szczęścia przyniosę do domu, że wszystko dobrze będzie. *(wybiega z batożkiem)*.

(Zastona spada).

AKT II.

SCENA I.

ZOSIA, TOMASZEK, TADZIO, później KAROLEK.

TADZIO.

Ależ tu jasno! Ależ tu pięknie! Ależ to jak w kościele!

TOMASZEK.

Co tu siodeł! Co tu trzęzli! Co tu batogów! Gdyby był koń, tobym zaraz kulbaczył, zaraz siadał i jechał do pana Kościuszki!

ZOSIA.

Nie ruszajże tylko nic. Stary pan Jan tego nie lubi, a jego trzeba słuchać i dogadzać jemu, bo powiadają, że on się bardzo dla wszystkich zasłużył.

TOMASZEK.

Wielka sztuka zasłużyć się przy Kościuszcze! Dajcie mi dziesięć Moskali, a niech tylko pan Kościuszek patrzy na mnie, to im wszystkim się nie dam, a jeszcze pobiję ich.

TADZIO.

Ależ tu pięknie aż strach! Pan Jan jest zapewne jak król bogaty.

ZOSIA.

A dni kilka temu, pamiętacie! gdy pan Kościuszek wchodził do miasta, jaka to była bieda. Pani Janowa słabowała, pana Jana nie było, Funia we łzach marniała, a Antoś tylko udawał, że jeść nie chce.

TADZIO.

Niezawodnie jaka zabawa tu będzie, że tak się przestroili.

TOMASZEK.

I po nas wszystkich posłali.

ZOSIA.

A mnie matka wyprawiając, mówiła: "Idźcie do Antosia i Funi, tam wielkie szczęście Bóg dał za poezliwość. Uczcie się od nich i od rodziców, jak trzeba żyć na świecie".

TOMASZEK.

A mnie tak samo tatko przestrzegał.

TADZIO.

I mnie coś mówili, ale ja tak się wyrwałem, że dobrze nie pamiętam. Nic to nie szkodzi. Ja choć czego nie wiem, to będę patrzeć, co Antos i Funia robią i tak samo robić będę.

ZOSIA.

Ale z kąd państwo Janowscy takich skarbów dostali?

TOMASZEK.

A cóż? Zapewne wszystko przy panu Kościuszcze, bo tatko powiada, że przy nim człowiek jakoby w chwale niebieskiej. A w niebie pewno na dostatkach nie brak.

ZOSIA.

Karolek wie, jak się stało. Obiecał nam opowiedzieć.

TOMASZEK.

Już i on powinien tu być.

TADZIO.

A! ot idzie, idzie!

(Wchodzi KAROLEK; wszystkie dzieci go otaczają).

ZOSIA.

No! Jakże to było?

TOMASZEK.

Ty podobno sam widziałeś?

KAROLEK *(z zapalem).*

I widziałem! I słyszałem! I śmiałem się! I płakałem! Bo wy nie wiecie; wyobraźcie sobie.... ludu jakby maku nasiał! pułki idą, muzyka gra, dzwony biją! W każdym oknie i na każdym piętrze tylko głowy widać, tylko ręce klaszczą!... Aż strach!...

TOMASZEK.

Ależ my to samo widzieli.

KAROLEK.

Prawda, i wyście widzieli; nie to miałem opowiadać.

Wyobraźcie sobie pan Kościuszko w białej sukmanie na koniu przodem... Koń szuka bruku, a znaleźć go nie może, bo ludziska tyle tam kwiatów pod kopyta mu rzućcili. Pan Kościuszko ręką się kłania, a poważnie spogląda. Na jego oczach, jak matulę kocham, jak tatkę kocham, w oczach dwie takie duże, jasne łzy stoją, że mógłby niemi, jak święconą wodą, cały lud pokropić.

TOMASZEK.

Ot, niedarmo syn zecera. W książkach siedzi, to później gdy gada, w oczach mu druk staje i mówi jak drukowany.

KAROLEK.

No, no, nie kpj z mnie. Już to prawda, że ja taki. Jak co przyjdzie opowiadać, myśli mi po głowie jak zające skaczą, a czegoś się rozglądam, chciałbym razem widzieć i ziemię i ludzi i niebo i — aż do Pana Boga bym frunął! No, nie wiem jak się stało, że raptem pan Kościuszko się zatrzymał i wszyscy stanęli tak nagle, żem sobie przypomniał historię świętą, jak Bóg żonę Lota w słup soli zamienił. Bo tak wszyscy stanęli nieruchomie, jak skamienieli i cisza taka nastąpiła, że muchę, co leci, słyszeć można było. Spojrzę. Aż oto nasz Antoś przed koniem pana Kościuszkę rezolutnie stoi, tylko że był bardzo błądy. Widzę, batożek wyciąga, a pan Kościuszko dobrotliwie się pochyła na szyję konia. Wtem, mówię wam, że tak było cicho, jak gdyby nikogo na świecie nie było. Wtem słyszę, Antoś woła: "Panie Naczelniku! Panie Naczelniku"! Aż pan Kościuszko pyta: "Czego chcesz dziecko moje"? Widać na głos takiego wielkiego człowieka Antoś już przytomność stracił i chciałby przemówić, a słowa grzęzną mu w ustach, i tak chwilę mocując się z sobą, stoi milczący. Aż mnie złość porwała, a żal się go zrobiło. Więc wrzasnę z okna: "Wstydź się Antku! tchórzysz! co"? — Powiem wam, jak koń zacięty biczem, rzucił się nasz Antoś i słyszę jak mówi: "Ja się nie boję, ja nie tchórze! Żli tylko boją się pana naczelnika. — Ja syn Jana siodlarza, pan Naczelnik pewno zna go, syn tego Jana, co to pomagał panu Kilińskiemu! Ja bardzo biedny! Oto batożek, sam nie umiejąc prawie, tylko z Bożą pomocą sporządziłem go. Matka złożona chorobą, mała siostra taka śliczna, żeby pan Naczelnik wiedział, płacze, aż serce się kraje. Batożka nie chcą przyjąć na obstalunku... A tu chłodno! głodno! Ziela na leki dla matuli nie ma kupić za co. Wszyscy ludzie dobrzy, ale pan Naczelnik pewno najlepszy! Jak on nie kupi batożka, to już chyba Bóg go kupi. Proszę pana Naczelnika

wziąć go. Jabym darował, ale Bóg świadek, że mi koniecznie tych kilku złotych dla matuli potrzeba. Weźcie go panie naczelniku! Weźcie a zapłaćcie, bo mi bardzo smutno i straszno”. A jak ryknie płaczem, aż lud sobie płakać zaczął. A pan Kościuszko wziął batożek w ręce, Antosowi dał dwa dukaty, a obróciwszy się do otaczających rzekł: “Kto mię kocha, zamówi taki batożek u tego małego majstra”. No, co?

ZOSIA.

Cóż dalej?

KAROLEK.

Antosia pochwycili oficerowie i obywatele między siebie, wzięli go na ręce i odwieźli do domu; a tyle zamówień na podobne batożki zrobiono, że pan Jan nastarczyć nie może i już ma majątek.

WSZYSTKIE DZIECI.

Oto Antoś szczęśliwy!

KAROLEK.

A bo i pocziwy.

ZOSIA.

Mogą się cieszyć jego rodzice. gdy Bóg ich tak nagradza pociechą z dzieci!

TOMASZEK.

Oto wiecie co? Ja co myślę ciągle bić się i wojować widzę dobrze, że i bez tego można pięknie się zasłużyć. A otóż Antoś i Funia. Któż to jeszcze z niemi?

SCENA II.

Cią sami, ANTOŚ, FUNIA, MARCELEK.

WSZYSTKIE DZIECI.

Antosiu! Funiu! Jacy wy szczęśliwi! Jak my was kochamy!

ANTOŚ *(biorąc za rękę Marcelka.*

Pokochajcież i jego, bo to nowy nasz przyjaciel.

KAROLEK.

A więc i jego kochać będziemy. Im więcej, tem lepiej. Ale najwięcej was — pocziwych!

FUNIA.

Nie nasza to zasługa, żeśmy tacy, bo i Bóg nas tak stworzył i rodzice nauczyli być takimi. A on sam się domyślił, że źle zrobił; sam pożałował i sam poszedł do nas z wielkim wstydem.

WSZYSTKIE DZIECI.

A cóż on zrobił?

FUNIA.

A jeżeli nie wiecie, wiadomość ta wam niepotrzebna. Wiedźcie tylko, że to nasz przyjaciel i kochajcie go, jak nas kochacie.

MARCELEK.

Ja nie chcę mieć przywiązania darmo. Nie chcę nikogo oszukiwać. Źle zrobiłem. Myślałem, że wszyscy mi dogadzać, że wszyscy służyć mi powinni. Przebaczenie mi, bo dosyć sam już się napłakałem!... Nikt nie widział mego wstydu, gdy opowiadano u moich rodziców, opowiadano ze łzami w oczach historię Antosia i jego batożka. A ten batożek ja odrzuciłem dla dogodzenia gniewowi niesłusznemu. Ja odrzuciłem ten batożek, który przywiązanie do matki pletło, który wytrwała praca uświęciła, a pocziwy uczynek zapłatać mu być miał. Odrzuciłem, a ci, co opowiadali tę historię, nie wiedzieli mego nazwiska, lecz Bóg je wiedział. Bóg mój żal zobaczyć i myśl mi dobrą zesał. Poszedłem do rodziców Antosia, przeprosiłem ich, a wiem, że i Pan Bóg mi przebaczył, bo oni mi pobłogosławili, a błogosławieństwo ich to przebaczenie Boże!... Teraz przy was wszystkich przepraszam Antosia i Funię, przepraszam was i wszystkie polskie dzieci, którym złemi być nie wolno.

WSZYSCY.

Przebaczamy! przebaczymy! Kochamy! kochamy!

MARCELEK.

Pozwólcie więc mi pozostać między wami i podzielić się szczęściem dzieci tych ojców, którzy za nas wszystkich walczyli.

KAROLEK.

Zuch chłopiec! Pięknie mówi.

TOMASZEK.

A ty zaraz myślisz, że z twego cechu, że także syn zecera.

KAROLEK.

A, potroszę. Bo co ojcowie zecerowie układają, to on czyta, więc trochę jest ich dzieckiem.

MARCELEK.

Ich dzieckiem trochę — ale waszym bratem zupełnie.

FUNIA.

Radość więc i szczęście i zgoda! Tatko powiada, że gdyśmy śmiecie nieprzyjacielskie z Warszawy wymietli, to i zabawić się godzi. A! Otóż i muzyka!

(Wchodzi muzyka i jeszcze kilkoro dzieci płci obojej).

Ot i reszta towarzyszy. — Zapraszam do tańca!

TADZIO *(do muzyki).*

A no, grajcie grajki! A tylko od ucha, jak mówi dziadunio, kiedy się weseli.

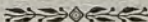
(Muzyka gra krakowiaka. Funia z Marcelkiem w pierwszej parze; inne dzieci parami za nimi zaczynają tańczyć.)

Zasłona spada).



Młodzieniec i Dziadek.

(Kazimierz Brodziński.)



MŁODZIENIEC.

Dziadku! gdzież tu dostać chleba?

DZIADEK.

O! po chleb rano wstać trzeba,
Bo droga przykra i długa:
Najlepiej ująć się pługą;
Za pługiem będzie chleb znojony,
Ale zdrowy i spokojny.

MŁODZIENIEC.

Gdzież tu są, dziadku, zabawy?

DZIADEK.

Sześć dni drogi do nich będzie:
Sześć dni obchódz twoje sprawy,
Dom i przyszłość miej na względzie,
Zysk obrachuj; potem śmieje
Hasaj sobie przez niedzielę.

MŁODZIENIEC.

Gdzież tu znaleźć przyjaciela?

DZIADEK.

Tego tylko los udziela;
Nie złowisz go wędą złotą,
Ni talentem, ani cnotą.
Kto w czas zyskał przyjaciela,
Pociech i troski spółnika,
Niech z pełni serca wykrzyka!
Bo jako powietrza ciała,
Tak duszy trzeba udziału.
Kto będzie w słowa oszczędny,
Tobie otwarty, a względny;
Jeżeli, nie wiedzieć czemu,
Tęskno ci będzie ku niemu;
Gdy i milcząc, tobą władnie,
Skryty twój smutek sam zgadnie;
Kiedy złe i dobro swoje,
Z tobą rad święcić łąą tajną!
Jeżli, poświęcenie twoje,
Przyjmie jako rzecz zwyczajną:
Wykrzyknij, pełen wesela,
Że znalazłeś przyjaciela!

MŁODZIENIEC.

A gdzie też tu miłość mieszka?

DZIADEK.

Gdzie różana wiedzie ścieżka,
Tam chodź, tęsknij i myśl o niej;
A wnet cię przedmiot dogoni
Jaki sam sobie wymarzysz.
Będzie też to dusza sama,
Mądra, czuła i wesoła;
I coś jeszcze nad anioła.
Ale to nie twój towarzysz,
To jest bańka twego tchnienia;
Bóstwo, które tworzysz sobie,
Niewcielone, umrze w tobie.
Gdyś stworzony, syn Adama,
Szukaj, tak jak ty, stworzenia;
Nie trać czasu na ofiary
Dla utworu własnej mary.

Tam, gdzie w gospodarnej chatce,
Widać kwiaty u podwórka;
Gdzie pomocna swojej matce,
Nie zbyt głośna mieszka córka:
Tam bądź wesoły, a grzeczny;
Mniej natrętny, a stateczny;
Szczery bądź mową i okiem,
Nic nie dodaj, nie ukrywaj!
Ni własnych marzeń urokiem
Zalet lubej nie odziewaj;
Jej nie zawódź, ani siebie.
Bo, jak ogień błyszczy z siebie,
Tak miłość sama się zdoła;
Sama lepszymi was zrobi.

Gdy litość sercem jej włada,
A ceni miękkość przymioty;
Gdy nad strój czystość przedkłada;
Kiedy wesołej jest cnoty;
Gdy boleść sercem zrozumie,
Ale zagadnąć ją umie;
Jeżeli dbała, bez parady,
O porządek w domu matki;
Jeżeli lubi bez przesady,
Dzieci, tańce, śpiewy, kwiatki:
Szalej za nią! — to twa żona,
Z Opatrzności naznaczona.

MŁODZIENIEC.

Gdzie też tu mieszka wesele?

DZIADEK.

Dawno o niem nie słyszałem,
Mało ci o niem kto powie.
Kiedys w młodości je znałem:
Ojcem jego było zdrowie,
Miało niewinność za żonę;
Potem, z zasługą związane,
Dorobiło się dóbr wiele.
Dziś podupadłe, w niedoli,
Chyba gdzie z dziećmi swawoli.

MŁODZIENIEC.

A gdzie też tu mieszka cnota?

DZIADEK.

Skryła się za swoje wrota,
Oddawna samotnie żyje;
Obdarli ją ludzie podli:
Z żalem przed światem się kryje,
Tajnie za wszystkich się modli.
Byłaby nagrodą sobie,
Spokojna czystem swem tchnieniem
Lecz teraz żyje w żałobie,
Bo ludzkim cierpi cierpieniem.

MŁODZIENIEC.

A gdzież tutaj szczęście będzie?

DZIADEK.

Nie tędy do niego droga.
Pytają o niego wszędzie,
Ale nieznane nikomu.
Odszedłeś go w ojców domu,
A nie znajdziesz, aż u Boga.
Cichym bądź w sercu i w mowie,
W cnych czynach szukaj wytchnienia;
Z resztą zapytaj sumienia:
Umie po polsku, toć powie.

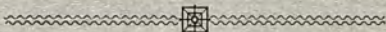
MŁODZIENIEC.

A gdzie też tu wiara mieszka?

DZIADEK.

Jeżeli nie wiesz od matki,
To ci pokażą ją dziatki:
Najprościejsza do niej ścieżka,
Nie pytaj o nią szczęśliwych,
Ani mędrców tego świata;

Szukaj jej w miłości brata,
W czynach i uczuciach tkliwych:
A kiedy cię wszystko zdradzi,
Ona, w nieszczęśliwym stanie,
Sama wyjdzie na spotkanie;
Do domu cię zaprowadzi.



V. Z PÓŁ SŁOWIAŃSKICH I WIERSZE RÓŻNEJ TREŚCI.



Czechom

w dniu otwarcia teatru narodowego w Pradze.

(Wł. Betza.)

Mówią, że kiedy przez próbę płomienia,
Przejdzie duch ludzki, a wyjdzie z niej cało,
To już na wieki i na pokolenia
Przyświecać będzie niezatartą chwałą,
I takiej chwały, co mu czoło krasi,
Woda nie zdławi, ani wiatr nie zgasi.

O Czesi! wyście przez owe płomienie
Szli wieki całe, skazani na zgubę...
Za wami buczał straszny głos "zniszczenie,"
Przecież zwyciężko przebyliście próbę,
I dziś potężni, silni, odrodzeni,
Na nowe życie wstajecie z płomieni.

Jakże narodu tego duch był żyzny,
Że nie zjałował, nękanym tak srodze!
Bez własnej mowy, tradycyi ojczyzny —
Wszystko to potem znalazł na swej drodze,
W ciszy wiekowej, beznadziejnej, głuchej,
Zbierał ukradkiem swych skarbów okrucy.

Zwolna, wiekami, niby dąb z żołądzi
Rósł i potężniał podobny do dębu;
Ojczystą ziemię zdobywał od pędzi,
Ojczysty język budował od zrzebu,
Urny wydarte z zimnych mogił łonu,
Niósł do pamiątek swoich Panteonu.

Z siłą, co dają tylko wielkie bóle,
Wyście tworzyli te dzieła potężne:
Z podziwem na was patrzą wasi króle,
Wsparliży na grobach prawice orężne,
Gdy ich dochodzi w ciszy Wyszehradu
Wieść nieznanego w ich czasach przykładu.

I oto nowa, a jak gród zamczysta,
Staje świątynia narodowej sławy:
Z niej mowa ojców, i z niej pieśń ojczysta
Ma jak nurt wartkiej popłynąć Wełtawy,
Co nieść wiekami będzie na swym grzbiecie
Sławę narodu po szerokim świecie.

Cześć! w cześć Muzom, a na ręce wasze:
Wznoszę ten toast, mieszkaniem daleki:
Ale nie winem napełńcie mi czasę,
Dajcie mi wody z macierzystej rzeki,
Wszak w niej krew wasza i łzy wasze płyną,
A taki napój cenniejszy nad wino.

Niechże ten nowy Muz czeskich przybytek,
Co się jak Feniks odrodził z zarzewi,
Rozszerza piękno, dobro i pożytek!
Niech czeską sztukę hoduje i krzewi!
A wciąż doznając narodu opieki,
Potężny duchem, późne przetrwa wieki.

Nasza mołytwa.

(Platon Kosteczki).

Wo imia Otca i Syna,
To nasza mołytwa:
"Jako Trojca, tak jedyna,
Polszcza, Ruś i Łytwa"!

Świtiat krowiu pobratani
Try rody węzyki,
Jak trojświcznik na Jordani
U rukach władzyki.

Jednakowo tužno, sumno,
Poem piśń ich płynie,
I czeła ich w bolu dumno
Hladiat w nebo syne.

Jednow żyjem my nadijew,
Wspilnaja nam sława,

Wsim zajedno myłj Kijew,
Wilno i Warszawa.

Jedna w Boha Korołewa
Mołyt sia za namy,
Z Czestochowy, Poczajewa
I z nad Ostroj Bramy.

Wdal krakiwski dzwoniāt dzwony
Świtom hołos czuty,
Z hrobow kłyczut Jahajlony,
Piasty, Korybuty.

Wo imia Otca i Syna,
To nasza mołytwa:
"Jako Trojca, tak jedyna,
Polszcza, Ruś i Łytwa"!

UWAGA. — Ze względu na wielką ważność braterstwa Polaków z Rusinami zasługuje wiersz Kosteckiego na baczną uwagę. Podajemy dosłowne tłumaczenie tej modlitwy.

W imię Ojca i Syna—To nasza modlitwa.—Jako Trójca, tak jedyna—Polska, Ruś i Litwa.

Świecą krwią pobratane — Trzy rody wielkie, — Jak trójświecznik podczas Jordanu (*Uroczystość Trzech Króli*)—W rękach władzyki.

Jednakowo tęskno, szumno—Połem pieśń ich płynie—I czoła ich w bólu dumne—Patrzā w niebo sine.

Jedną żyjemy nadzieją,—Wspólna nasza sława.—Wszystkim równo miły Kijów,—Wilno i Warszawa.

Jedyna w Bogu Królowa—Modli się za nami—Z Czestochowy, Poczajowa—I z nad Ostrej Bramy.

W dali krakowskie dzwoniā dzwony—Po świecie głos się rozlega,—Z grobów wołają Jagielony,—Piasty, Korybuty.

Pieśń łużycka.

(*Fiedlera*).

(Z łużyckiego tłumaczyła Melania Parczewska).

O ziemio łużycka! ojców moich kraju,
Kolebko ty moja, marzeń moich raj,
Tyś wyłączna celem, szczęściem mego życia,
Twoją tylko myślą żyję od powicia.

O ziemio łużycka! matko ty jedyna,
Jakaż świętą miłość wlewasz w serce syna;
Dla ciebie przed śmiercią nie zdejmie go trwoga,
Za tobą zanosi on modły do Boga.

O ziemio łużycka! cichy szmer twej jodły
Do snu tulił dziecię, szepcąc nad nim modły;
W twoich progach zbiegły dni mojej młodości,
Niczem niezmeconej swobody, radości.

O ziemio łużycka! chociaż twoja dola
Dzisiaj tak sieroca, ciężka jak niewola,
Choć róże powędły, cierni wszędzie wykwita,
Ja wierzę, że tobie inny dzień zawita.

O ziemio łużycka! w każdej życia chwili
Twoich pól powietrzem oddychać najmilej;
A gdy śmierć nadejdzie, spraw Panie nad pany,
Bym w ziemi łużyckiej mógł być pochowany.

Boże, coś Rosyę.

(Przekład z rosyjskiego).

Boże! coś Rosyę przez tak liczne wieki
Trzymał w ciemnościach na hańbę ludzkości,
Coś jej odmawiał dotąd swej opieki,
Robiąc narzędziem tyraństwa i złości.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:

Lud ten nieszczęsny racz oświecić Panie!

Daj naszej Rosyi poczucie wolności,
Niech w niej wytepią katowskie jaskinie,
Daj jej poznanie o ludów godności,
Niech z barbarzyństwem despotyzm zaginiel

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:

Ojczyźnie naszej racz dać wolność Panie!

Gdy cała Polska żałobą pokryta,
Modlitwą, łzami o swą wolność prosi,
Sółdat krzyż łamie, morduje i chwyta
Lud śpiewający, do fortec unosi.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:

Tak strasznej zbrodni racz odpuścić Panie!

O! Polsko! Polsko! za twoje cierpienia,
Którymi dręczy rząd dzikiej srogości,
Lud Rosyi błaga Twego przebaczenia,
Boś ty jest dźwignią i jego wolności.

Przed Twe ołtarze zanosim błaganie!
Z podłych służalców oczyść Rosyę Panie!

I myśmy ofiar ponieśli już krocie,
Podobnej Polsce ulegamy doli,
A żyjąc ciągle w hańbie i sromocie,
Dźwigamy jarzmo ohydnej niewoli.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Zbudź synów Rosyi, miłosierny Panie!

Boże wszechmocny! niech ta krew przelana,
Co ją broń nasza z Polski wytoczyła,
Nie na nas spadnie, ale na tyrana,
Którego ręce krew ta pobroczyła.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Krwawe morderstwa Rosyi przebacz Panie!

Lud nasz nie pragnie dla zdobyczy boju,
Nie chce już cudzej własności posiadać,
Pragnie swobody używać w spokoju,
Nie chce swych więzów innym ludom wkładać.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Z kajdan niewoli racz nas rozkuć Panie!

Lud Rosyi przeklnie wyrodnego syna,
Co krwią Polaków splami swoje dłonie,
Matki i żony odepchną Kaina,
Który zeszepeci zbrodnią swoje skronie.
Przed Twe ołtarze zanosim błaganie:
Wyrodnym synów nie daj więcej Panie!

Na cześć kapłanów polskich.

W purpurze krwi męczeńskiej wstała Polska zorza,
Miłością wzrosła Polska od morza do morza,
Jej królowie od pługów — a żelazni, wierni
Strzegli mogił granicznych hetmani pancerni;
A niewiasty na straży domowych cnót stały,
A w obronie wiary to już naród cały,
Za przewodem kapłanów, natchnionych i świętych,
Wlazał się w jeden hufiec rycerzy niezgiętych.
Nie zerwała Polska z Chrystusem przymierza
I nie brakło jej nigdy kapłana - rycerza!
Już za czasów Piastowskich gdy zakwitła wiosną,
Tuląc się do kościołów, mnogie szkoły rosna,
A biskupi nad stosem pergaminów zgłębi,
Piszą dzieje narodu pokoleń pamięci.

Majestat Jagiellonów kiedy Polskę zdobił,
Któż to ich królewiczów do berła sposobił
Żywota przykładem, przykładami z kronik?
To ojciec dziejów polskich, to Długosz, kanonik!
Potem gdy z wielkością i swobodą dumnie
Począł naród swawolić, nie myśląc o trumnie,
By nawrócić hardego, uchronić od klęski,
Wstaje olbrzym proroczy, ksiądz Skarga Pawęzki,
I woła: "Jeśli naród poprawie nie sprostą,
O, czeka go pioruna Bożych gniewów chłosta!"
Więc gdy potem moskiewskiej i tatarskiej dziczy
Zaczął Polskę naciskać potok najeźdźczy,
Ksiądz Birkowski na przedzie mieczem w rękę śmiga
A w drugiej krzyż podnosząc, męstwo hufców dźwiga
A nareszcie gdy w Polsce już słyhać kajdany,
Któż to barskich rycerzy w krwawę wiodąc tany,
Na ambonie z trupów—z czaszek przyszłość czyta?
Oto prosty zakonnik, Marek karmelita.
Wczoraj jeszcze, w rozdarcu już ojczyściej ziemi,
Gdy takie zamieszanie, jak przy Rabel wieży,
Słyhać jako z Wawelu Woronicz Jeremi
Prawi o zmartwychwstaniu, o Polsce macierzy!
O, nie zerwał nasz naród z Chrystusem przymierza,
I nie braknie mu nigdy kapłana-rycerza!
Nie zabraknie nam skrzących, cichych pracowników,
Nie zabraknie świętego ducha wojowników,
Przed którymi uciekać muszą wszyscy czarci;
Bo oni są o granit przeszłości oparci,
W łasce Bożej chodzący, stróżują ludowi,
Że Polski nie uwierzy nieprzyjacielowi;
Bo oni wiarą kontusz ze siermięgą spoją,
Bo wciąż na straży wiary i ojczyzny stoją.

Krakowiak

(Narcyzy Żmichowskiej).

ON.

Wezmę świecę i latarnię i głównię z komina,
Pójdę szukać: czy jest w świecie pocziwa dziewczyna.

ONA.

Wezmę księżyc, wezmę gwiazdy, wezmę jasne słońce,
Może znajdę w którym chłopcu serce kochające.

ON.

Toć szukałem i patrzyłem i wiem teraz o tem,
Że nie znajdzie najpocziwszej, kto nie brzęknie złotem.

ONA.

Toż patrzyłam i świeciłam i dojrzałam tego,
Że z nich każdy czule kocha, lecz siebie samego.

ON.

Już znalazłem najpocziwszą, znalazłem kochaną,
Piękną, cichą, ale w składzie... lalkę malowaną.

ONA.

Już znalazłam choć jednego, już znalazłam przecie,
Piękną, dzielny wojak młody... na starym portrecie.

ON.

Niechaj lalka malowana tkliwsze zwróci oczy,
To może wojak z portretu na konika skoczy.

ONA.

Niechaj wojak malowany dosiędzie bachmata,
Może w lalce malowanej serce zakołata.

Samarytanka.

(*Fr. Waligórski*).

Już dzień strudzone mruży powieki,
Umilknął boju gwar gdzieś daleki,
I pole bitwy—co śmierć zorała—
Cmentarna cisza owiała.

Ale cóż jeszcze głuszę przerywa?
Czy anioł śmierci nie skończył żniwa—
Czy dzicz zwycięzka, zbierając łupy,
Oprawia rannych i trupy?

To opuszczony w dzikim ustroniu,
Umiera Krakus przy swoim koniu,
I twarz płonąca tułac do ziemi
Skarży się usta spiekłemi:

“O Panie ogień pierś moją pali;
“Niech się nade mną niebo użali!
“Daj skończyć mękę, lub dla ochłody
“Choć kroplę zeszlij mi wody!

“Jam wiernie służył w Twoim zakonie;
“Wszystko oddaję w Jego obronie!
“I krew serdeczną i raj młodości—
“Litości, Panie, litości!”

Ledwie ostatnie wyjął słowo,
Budzi go jakiś szelest nad głową,
I biała postać jawi się w zmroku—
Jak Anioł Boży w obłoku.

“Ktoś ty?!”—“Ach cicho! jestem cyganka;
“Czerpiąc u źródła wody do dzbanka,
“Słyszałam skargę waszą i jęki
“I przysłałam ulżyć wam męki.

“Pijcie! Lecz cicho! bo tam jak katy
“Czychają wkoło moskiewskie czaty...
“Gdyby dostrzegli—za litość moję
“Zginęlibyśmy oboje”.

Krakus pochwycił dzban w obie dłonie,
Ugasił pożar śmiertelny w łonie,
I iza wdzięczności płacąc za leki,
Usnął spokojnie na wieki.

Dziewczyna kornie zgięła kolana,
Zmówiła pacierz u zwłok młodziana;
A Bóg—co widział ten czyn dziewczyny—
Pewno go w niebie policzy.

Ręka w rękę.

Obrazek współczesny wyczytany z akwareli Tepy.

(Fr. Waliński).

O cześć tobie, życia wiosno,
Wieku szczęścia i swobody!
W tobie tkwią zarody
Cnót, co Bożem tchnieniem rosną
I jak rajskiej woni kwiaty
Leją czar na światy!

Pokrzepiona ducha rosą—
Wyrośli się jak pszczoły
Działwa z wiejskiej szkoły;
Ten ozuty, a ów boso,
Ten w kubraku—ów w żupanie,
Ot—jak kogo stanie.

Ale któż tam o strój pyta,
Gdzie świat jeszcze serc nie studzi,
Ani dzieli ludzi,
Gdzie myśl zorzą prawdy świta,
A miłości zdrowe ziarno
Idzie w siew nie marno!

Więc nie radzi też Adasia—
Choć wygląda coś na panka—
Wieśniacza płótnianka;
Bo za szyję wziął Iwasia,
I rówieśni sercem—szkołą—
Patrzą w świat wesoło.

“Wiesz Iwanku: twoja chata—
Choć to ojcowizna droga—
Ciasna i uboga;
Ja cię przyjmę sercem brata,
U mnie znajdziesz chleb, dostatki
I opiekę matki”.

“Eh paniczu, co wam w głowie!
Alboż może Rusin z Lachem
Żyć pod jednym dachem?
Jam chłop zresztą—wy panowie—
Rodzimy się z woli nieba
Do innego chleba”.

“A Bóg z tobą! Jakaż mara
W twoje serce jad ten sączy?
Alboż nas nie łączy
Jeden Bóg i jedna wiara,
Spólne niebo—spólna dola
I ojczysta rola?”

“Patrz, na naszym tu cmentarzu
Leżą w zgodzie i równości
Naszych dziadów kości;
A w kościółku przy ołtarzu
Klęczą matki nasze razem
Przed jednym obrazem.

“Bośmy jednej matki dzieci—
Czy Rusini czy Polacy—
U niej my jednacy;
I pokąd to słońce świeci,
Pokąd bratnia krew w nas płynie—
Matka ta nie zginie”!

“Tak Adasiu!—i ja czuję,
Że to wszystko prawda święta;
Tylko złość przekłeta
Nasze serca fałszem truje
I swą ręką zaślepioną
Krwawi matki łono.

“Lecz dziś precz już z tą zakałą!
Niech nam zgoda zbroi ramię
I braterstwa znamię.—

A do boju stanieniem śmiało,
I pewno się przed tą zbroją
Wrogi nie ostoją”!

I podali sobie dłonie...
A tam z góry anioł Boży
Radością im wtórzy;—
Bo gdzie zgoda jest w zakonie,
Gdzie sterniczką miłość ludu—
Tam nie braknie cudu.

Dwaj mularze.

Zdarzenie prawdziwe.

(*Julian Miłkowski*).

W stolicy świata słynnej z powabów i czarów,
W nowym, cudnym Paryżu, nad jednym z bulwarów
Przed może ośmnastu, czy dwudziestu laty,
Budował sobie pałac pewien pan bogaty;
Hojną dłonią grosz sypał i nie szczędził trzosa,
To też mury tak rosły, jakby szły w niebiosy.

W licznym tłumie czeladzi, która pod nadzorem
Budowniczych władnęła kielnią czy toporem,
Było i dwóch mularzy. Jeden w wieku sile,
(Miał lat dwadzieścia kilka, może i nie tyle)
Rysów pięknych; ze żrenic zacność, prawość biła,
A w postawie widniały: mężstwo, zdrowie, siła.

Wołano nań “Andrzeju”... pracował z ochotą,
By zarobić na życie... był na pół sierotą:
Gdyż prócz staruszki matki, ni ojca, ni brata,
Ni krewnych; rzeczby można sam jeden wśród świata.
Na teź samej desce, wiszącej w przestrzeni,
Tak wysoko, że patrzeć, to w oczach się mieni,

Stał razem drugi mularz, zwano go Grzegorzem;
Ten znów błogosławieństwem obsypany Bożem,
Miał i matkę i żonę i dzieci siedmioro
I całej tej rodziny musiał być podporą.
U obu w rękach kielnia, na ustach piosenka,
Gdy wtem, o Wielki Boże! wąta deska pęka!

Więc obaj swego życia ratując godziny,
Rzucili się do jednej i tej samej liny;
I zawisli w powietrzu, aż im kto z pomocą
Pospieszy... krwawym potem ich czoła się pocą,
Słyszą, jak głucho, lecz straszliwie trzeszczy.

Widzą, jak się rwać włókno po włóknie zaczyna,
I jak w oczy zagląda śmierci wzrok złowieszczy;
“Andrzeju! dwóch się nas tu utrzymać nie zdoła!
Jeden mógłby ocaleć”... Grzegórz z płaczem woła.
“Ach rozumiem” odpowie mu Andrzej w rozpacz,
“Czuje, że prawdę mówisz... jeden... nie inaczej!

Lecz ja mam matkę starą!... “Ja rodzinę całą,
Co zmarnieje w nieszczęściu, gdyby mię nie stało”...
“Masz słuszość! Boże Wielki w Twe wszechmocne dłonie”...
Nie domówił... padł na bruk, a czaszka i skronie
Roztrzaśły się... i dusza wielka, zacna, święta,
Zerwała doczesności krępujące pęta...

Grzegorza ocalono... podano drabinę,
Po której zszedł, rzucając niegościnną linę.
Dzień był piękny—słoneczko świeciło tak cudnie...
Kompas właśnie oznaczał cieniem przedpołudnie.
Pracę wstrzymali wszyscy, a dzieci lub żony
Znosiły im posiłek w domu przyrządzony.

Przyszła i biedna matka, przywlokła się z chaty,
Niosła skromne dwojaczki, nie wiedząc swej straty,
Aż ujrawszy tłum ludu, krwawe zwłoki syna,
Zachwiała się i padła na nie starowina:
“Andrzej! Andrzej najdroższy!” “Nie płaczcie kobieto!
Wasz syn w niebie—za mnie się poświęcił, a przeto

Ja go odtąd zastąpię... podwoję mą pracę,
Ten święty dług wdzięczności wiernie wam wypłacę”.
Grzegórz dotrzymał słowa. Zaraz po pogrzebie
Rozpaczącą matkę przygarnął do siebie,
Tak ją czcił i szanował, tak jej boleść sładził,
Że dlań jakby się Andrzej w Grzegorzu odrodził.

Dotąd jeszcze w pamięci tkwi wspomnienie czynu,
Który był poświęcenia tak szczytnym obrazem,
I który pośmiertnego godniejszy wawrzynu,
Nad waleczność, co bliźnich przeszywa żelazem.

Dziewczę zuch.

(Igor).

Hej, trąbki zabrzmiały!
Gdzie siwy mój koń?
Gdzie kołczan, gdzie strzały,
Gdzie sieczna ma broń?

I chwatów Jaś woła—
Już zbroją się w stal,
Już pędzą przez sioła,
Przez błonia, gdzieś w dal!

Aż cieszy się dusza,
Gdy patrzę na młódź,
Aż serce się wzrusza,
Łza ciśnie do ocz.

Och! dajcież tu zbroję
I meżki mi strój,
Bym poszła na boje.
Gdzie Jaś luby mój!

Już słyszę szcęk broni,
Już pierzcha tam wróg,
Młódź dzielna go goni,
Zwycięstwo dał Bóg!

Och, biedne dziewczyny!
Nie dla was to bój,
Nie dla was wawrzyny,
Jak smutny los mój!

Pamiętaj o mnie.

(*Al. Fredro*).

Tłumaczone z Musset'a.

Pamiętaj o mnie, gdy jutrzeńka skromnie
Słońce na tory wprowadza czyste,
Pamiętaj o mnie, gdy nocy cienie
Zalegną niebo gwieździste,
Kiedy cię serce ciągnie ku zabawie,
Gdy mrok wieczorny wzbudza marzenie,
Głos szemrze skromnie:
Pamiętaj o mnie!

Pamiętaj o mnie, gdy losy świata
Kiedyś rozdzielią mnie z tobą,
Kiedy wygnanie, smutek i lata
Okryją serce żałobą;
Myśl o mojej miłości i o pożegnaniu,
Kto kocha, nie zna czasu ni przestrzeni
Serce się nigdy nie zmienia,
Przy szczerem kochaniu,
I puka skromnie:
Pamiętaj o mnie!

Prastarym hymnem w Piastowej koronie
Spiewają Księciu na Wojciechów tronie —
Temu, co w radość zmienienia dni trwogi:
“Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!”...

Hymnami dzwonów — i pieśni chorałem —
Marzeń widzeniem — o świetle nadziei —
Wiary potęgą — serca ideałem —
Stajem w otwartej kościoła wierzei; —
I w tryumfalnym dziś wiodąc pochodzie,
Wołamy Ojcu na pasterskim grodzie —
Temu, co w radość zamienienia dni trwogi:
“Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!”...

Witaj nam — witaj! — na duchowym tronie —
We wspólnych uczuć święconem przymierzu —
We czci i wiary ojczystej osłonie —
Witaj nam — witaj! — nasz Arcypasterzu!...
Tobie dziś Ojczel — po trudach i znoju —
Tobie śpiewamy — starą pieśń pokoju —
Tobie, co w radość zamieniasz dni trwogi:
“Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!”...

Z poematu “Zakłète dzwony”.

A. D. 1795.

(Władysław Bełza).

Na Wawelu jęczą dzwony,
Głośno nasz się “Zygmunt” żali,
A z wichrami smutne tony
Po wiślanej płyną fali.

Stary “Zygmunt” łka jak dziecię...
Jęki niosą wiatry hyże,
A z “Zygmuntem” wszystkich w świecie
Zajęczały dzwonów spiże.

I po ziemi naszej całej
Huczą dzwony, jak zakłète...
Nawet ów z Loretu — mały,
Cicho roni łezki święte,

Hej! kto płaci za podzwonne,
Że tak kazał grzmieć sownice?
Hej litewskie i koronne,
Komu, komu wy dzwonicie?

Pamiętaj o mnie, kiedy pod głazem
Złożę mą głowę żalosa,
Pamiętaj o mnie, gdy na mym grocie
Żałobne kwiaty porosną.
Ja cię nie ujrzę, lecz dusza przy tobie
I z robą zawsze pozostanie razem.
Słuchaj — w noc głuchą
Głos szemrze w ucho
 Mile i skromnie:
Pamiętaj o mnie!

Hymn

na przybycie Najprzewiel. ks. Arcybiskupa Floryana dra Stablewskiego.

(*W. Benzelstjerna Engestroem*).

Na katedralnych tam wieżyc wyżynie
Dzwon się odezwał — i rozbudził dzwony
Spiżowym hymnem — który górą płynie
I w pieśń nastraja — polskich serc miliony; —
A wieść radosną niesie naszej ziemi
Dzwoniąc hosanną — głosy dobranemi —
 Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
 “Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!”...

W tysięczne dzwony — niechaj wieść się złoży—
Ze z krwi i kości naszego narodu
Wstępuje na tron — Pomazaniec Boży!...
Więc w głos organów — w “Te Deum” pochodu—
Tą pieśnią spiżów — i hymnem organu —
Spiewamy społem dziś nowemu Panu —
 Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
 “Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!”..

Dzwony katedry — i wszechdzwonów chóry
Budzą dziś echem dawnych ojców cienie —
Które zstępując — patrzą na nas z góry —
By z nieba jasne — złotych gwiazd promienie!...
Tam święty Wojciech — na pasterskim tronie
W Prymasów polskich jasnem mówi gronie
 Temu, co w radość zamienia dni trwogi:
 “Witaj nam—witaj—Hospodynie drogi!”...

Tam białe orły — nasze orły białe!
Pieśnią się duchów — do lotu zerwały
I wieńcem w górze krążą okazałe —
Szumiąc w wyżynie wspomnieniami chwały!...

O! nie pytaj, rzeszo miła,
Jeno słuchaj, słuchaj szczerzej...
Otóż jedna — patrz mogiła,
A w mogile Polska leży...

Rozbujane serce w dzwonie
Wstrząsa duszę dziwną mocą;
A tam drugie w ludu łonie
O pierś bije, o sierocą!

Dzwon w niebieskie grzmi podwoje,
Głośniej ludu serce szlocha,
I tak serc się ściera dwoje,
Które silniej Polskę kocha!

Na przemianę — ciszej — śpiewniej,
Dzwoni żałość ich pobożna,
Że nie wiedzieć, czy już rzewniej
Nad ojczyzną płakać można...

Jęczą dzwony — dzwonom śmiechem
Odkrzykują wtór morderce,
Aż z ostatniem dzwonów echem,
"Zygmuntowi" pękło serce.

.

W koło trumny marmurowej,
Co pokrywa drogie zwłoki,
Stoi orszak pogrzebowy
W ciszy wielkiej i głębokiej.

Smutne "requiem" grzmia organy,
Serce wszystkie drżą w pokorze...
Gdzież te czasy, gdy te ściany
Odbijały: "Ciebie Boże!"?

Gdy tu króle, wodze nasi,
Po stoczonej bitwie walnej
Nieśli wota... a prymasi
Hymn "Te Deum" tryumfalny?

Gdy tu król nasz, Zygmunt Stary,
Gdy bywało, dzicz przepłoszy,
Z rąk Tarnowskich brał sztandary
I na klęczkach hołd Wołoszy?

Gdy tu wieńcząc wielkie dzieło,
Które burzył mnich niecnota,
Z pod Grunwaldu nasz Jagiełło
Sto chorągwi słał na wota?

Gdzież te czasy dawnej chwały?
Gdzie ta królów dań powszednia?
Gdzie te hymny, co tu brzmiały,
Gdy Jan Trzeci wracał z Wiednia?

Wszystko, wszystko pogrzebione...
Jeno czasem w nocną ciszę,
O trofea zawieszzone
Pod sklepieniem — wiatr kołysze.

Jeno czasem, gdy mrok pada,
Jęk w Wawelskiej słychać skale,
I duch jakiś błędny gada
O minionej przodków chwale!

Na Górze Lecha.

(Ks. A. K.)

Na starej górze Lecha stoję zadumany,
Słońce twarz mą ostatnim musnęło promieniem,
Marcowy wieczór chłodnym owionął mnie cieniem,
Przedemną się katedry starej piętrzą ściany.

A dwie smukłe wieżycy z godłem Zbawiciela
Ku niebu wznoszą wiekiem obciążone barki,
W krainę zmierzchłych wieków duch uleciał szparki,
Wojciech... Bolesław... Czechy... czarny cień Popiela.

Więc uchyliwszy drogą strudzonego czoła,
Bogarodzico Maryo — szeptałem ze łzami —
Dąbrówko i Jolanto — wszyscy, co do koła

Spoczywacie snem Świętych — módlcie się za nami,
By zesłał Pan dla Polski pokoju anioła.
I brać zwaśnioną złączył miłości węzłami.

Na obczyźnie.

(T. L.)

Tak tu róże kwitną cudnie,
Taka niebios twarz wesoła!
A mnie w duszy coś wciąż woła:
Wschód piękniejszy, niż południe.
Tak daleko chata znana.
Za tem morzem, za tym krajem,

Świeżym płaskiem wysypana,
Umażona pięknym majem,
Moja chatka, a w niej — Boże!
Zamiast róży — dziewczę hoże,
Zamiast słońca twarz matczyna,
Zapatrzona w swego syna,
I przyjaciół wierne gronko,
I cienisty dąb przed sionką,
I bez, co się w okno ciśnie,
I ten krzyż za kołowrotem...
Wszystko, jakby naumyślnie,
Żeby człowiek tęsknił potem.

Florencya.

Papuga i wróbel.

(Bajka Konstantego Gaszyńskiego).

Nie pamiętam w której stronie,
Czy to w Litwie, czy w Koronie,
Dość że w Polsce swego czasu
Narobiło to hałasu;
I daj Boże! by dzieci nasze lub choć wnuki
Skorzystały z tej nauki!

* * *

Za pałacem, śród ogrodu
Stała ogromna altana,
W słatkę z drutu oplatana,
W niej ptactwo różnego rodu,
Które wymieniać rzecz byłaby długa,
Lecz rej wodziła papuga;
Bo w krasne pióra okryta
I z gadulstwa znamienita,
A ztąd najbardziej zuchwała,
Że kilka słów francuzkich na pamięć umiała
I ciągle je powtarzała.
Dudki, pawie i gawrony
Uwielbiały z wielkim krzykiem,
Że ród papug tak uczony,
Iż obcym gada językiem.
A ona
Wielką dumą napuszona,
Z żadnym się już w rozmowę nie wdawała ptakiem;
Z jednym tylko szpakiem
Czasem przywitać się raczy;
Bo wiadomo, że bardzo sprytny naród szpaczy.

I ten, słuchając pilnie przez czas długi,
Nauczył się wymawiać kilku słów papugi.

Ztąd łaska i uprzejmości
U owej hardej Imości,
Co siadłszy na pierwszej grzędzie,
Chciała rozkazywać wszędzie.

Wszystkie ptaki

Jaki taki,

Spuściwszy główki na dół i pisać nie śmiały,
Chyba by głosić tylko papugi pochwały.

Wtem wróbel, choć niepozorny z postaci,

Ani z miny,

Ni z czupryny,

Ale szerszy i śmielszy od ptaków swych braci,

Zadartłszy dzióbka do góry,

Rzecz do niej: "Moja pani,

Zkąd te fochy u wasani?

Wyrzekłś się danego głosu od natury

I z nas jeszcze chcesz tu szydzić?

I przewodzić nudnym krzykiem,

Papłając cudzym językiem!

Ot, powinnabyś się wstydzić,

Bo to brzydkie są narowy

Zapominać własnej mowy!

Wiem ją dobrze, że słowiki

I skowronki i czyżyki

Bardzo piękne mają głosy;

Jednak im nie zazdrośczone, ni sarkam na losy.

Ale sobie świergocę, jak moi ojcowie,

Szarzy wróblowie —

I nie trzeba mi było obcej mowy wiedzieć,

Aby ci prawdę powiedzieć".

*

*

*

Miał słusność wróbel, choć mały i szary;

Oby tylko te słowa z serca wyczerpane,

Nie padły jak groch na ścianę,

I z wiatrem się nie rozwiął!

Znać obcych narodów mowy,

To rzecz arcyużyteczna

I konieczna —

Ale Polak do Polaka

Używać w listach, albo do rozmowy

Obcej mowy —

Wielki to grzech — moda taka.

Godło zycia.

(Pieśni Janusza).

Wiernie stanąć u przeszłości,
Jak krew ze krwi, jak kość z kości,
I sumiennie poczczyć dzieje,
A w świat przyszły siać miłości,
Ziemię z niebem związać spodem,
Serce z bogiem — myśl z narodem,
Słowem, wzorem iść mu przodem,
I przymierza opleść kołem;
Nie poranić, nie podwoić,
Lecz miłością bóle koić,
Pracą ducha uszlachetnić,
I uwiecznić i uświetnić:
To zadanie zacnej młodzi —
Dla ojczyzny to się godzi...
To zadanie sztuki, śpiewu,
Mężów prawdy i posiewu
Dobrego w ojczyźnie.

Nadzieja.

(R. T.)

Gdy ciemno w życiu, na niebios błękiecie
Świecą trzy gwiazdy jasne, przeźrocyste,
A płynąć w duszę tajemniczo, skrycie,
Mówią o szczęściu, co trwałe i czyste.
Pierwsza, gdy dusza w smutku obumiera,
Gdy serce dręczy boleść i zwątpienie,
Wiedzie do krzyża, gdzie świata zbawienie,
I wiarą w lepszą przyszłość łączy ociera.
Druga, co z jasnych przygląda promieni,
Gwiazda miłości uroczą i świętą,
Z ziemią wiążące gdy rozkuje pęta,
W rozkosz najśrodsze cierpienie zamieni.
Gdy smętne w koło wysełasz spojrzenie,
Trzecia pociechą siły twoje krzepi:
"Ufaj, że kiedyś będzie sercu lepiej!"
I w duszę wlewa nowych łask strumienie,
I ulgę znajdziesz w słodkiej z nią rozmowie:
Ta trzecia gwiazda nadzieją się zowie.
Ufaj mi zawsze, chociaż grom uderzy,
Odrzucaj trwogę, ja czuwam za ciebie,
Szczęśliw, kto kocha i ufa i wierzy,
W co ufał, wierzył, to ukocha w niebie.



SPIS RZECZY.

I. POEZYJE RELIGIJNE.

	Str.
Hymn do Boga. <i>Ks. Paweł Woronicz</i>	3
Psalm do Patronów Polskich. <i>Gabryela Żmichowska</i>	4
Modlitwa kmieli. <i>Wł. Anczyc</i>	5
Hymn na dzień Zwiastowania NPMaryi. <i>A. Mickiewicz</i>	6
Hymn do Bogarodzicy. <i>J. Słowacki</i> :.....	7
Psalm dobrej woli. <i>Z. Krasiński</i>	8
Do Anioła Stróża. <i>T. Lenartowicz</i>	9
O wielkości Boga. <i>Jan Kochanowski</i>	9
Modlitwa do Boga. <i>J. Słowacki</i>	10
Kolenda. <i>Wł. Syrokomla</i>	11
Krówka Jaremy. <i>Ks. J. Hołowiński</i>	11
Wiarę ojców czcić należy. <i>R. Berwiński</i>	13
Szanujcie dzień święty. <i>K. Brodziński</i>	14
Modlitwa za polskie dziewice. <i>Wł. Betza</i>	14
Pan Jezus chodził po świecie. <i>Asnyk</i>	15
Grosz wdowi. <i>St. Jachowicz</i>	16

II. POEZYJE PATRYOTYCZNE.

Wiersz Krasickiego o miłość Ojczyzny, który każdy Polak na pamięć umieć powinien....	17
Giermek. <i>Fr. Morawski</i>	17
Garść ziemi. <i>Kr</i>	21
Pogrzeb Kościuszki. <i>K. Ujejski</i>	22
Katedra na Wawelu. <i>E. Wasilewski</i>	24
Polskiemu dziecku. <i>M. Sokolnicka</i>	27
Reguły staropolskie. <i>W. Pol.</i>	28
Walka z Moskalami. <i>A. Mickiewicz</i>	29
Kulik. <i>J. Słowacki</i>	31
Czemu, mistrzu, masz siwiznę. <i>Z. Krasiński</i>	33
Odpowiedź <i>K. Koźmiana</i>	34
Do Tatrów. <i>W. Pol.</i>	34
Gopło. <i>Deotyma</i>	35
Co to jest Ojczyzna? <i>A. Krasicki</i>	36
Wisła. <i>Fr. Morawski</i>	37
Przez pieśń do czynów. <i>Józef Kościelski</i>	38
Szlązk moja Ojczyzna. <i>Czesław Lubiński</i>	39
Głos z wygnania. <i>Seweryna Duchńska</i> ..	40
Somo-Sierra. <i>A. Górecki</i>	41
Śmierć zdrajcy Ojczyzny. <i>A. Górecki</i>	42
Dom Polski. <i>Józef Kościelski</i>	44
Królowa Jadwiga. <i>S. Duchńska</i>	45
Syn do matki. <i>Agn. Baranowska</i>	46

	Str.
Raciawice. <i>S. Duchńska</i>	47
Do Polki. <i>S. Duchńska</i>	48
Gdzie moja Ojczyzna? <i>Światopłuk od Gdańska</i>	49
Jan III Sobleski. <i>M. Konopnicka</i>	50

III. PRACA I PRZEMYSŁ.

Praca. <i>Kazimierz Brodziński</i> ..	52
Polski przemysł niech nam żyje. <i>J. Szastek</i>	53
Stanisław Staszyc. <i>Wł. Zieliński</i> ...	54
Miłość i praca. <i>A. E. Odyniec</i>	55
Rolnik. <i>W. Pol</i>	56
Zachęta do pracy. <i>A. Brzostowski</i>	56
Praca i oszczędność. <i>A. Milewska</i>	57
Życzliwe rady. <i>Józef Chmielewski</i>	58
Złote słowo. <i>W. Pol</i>	60

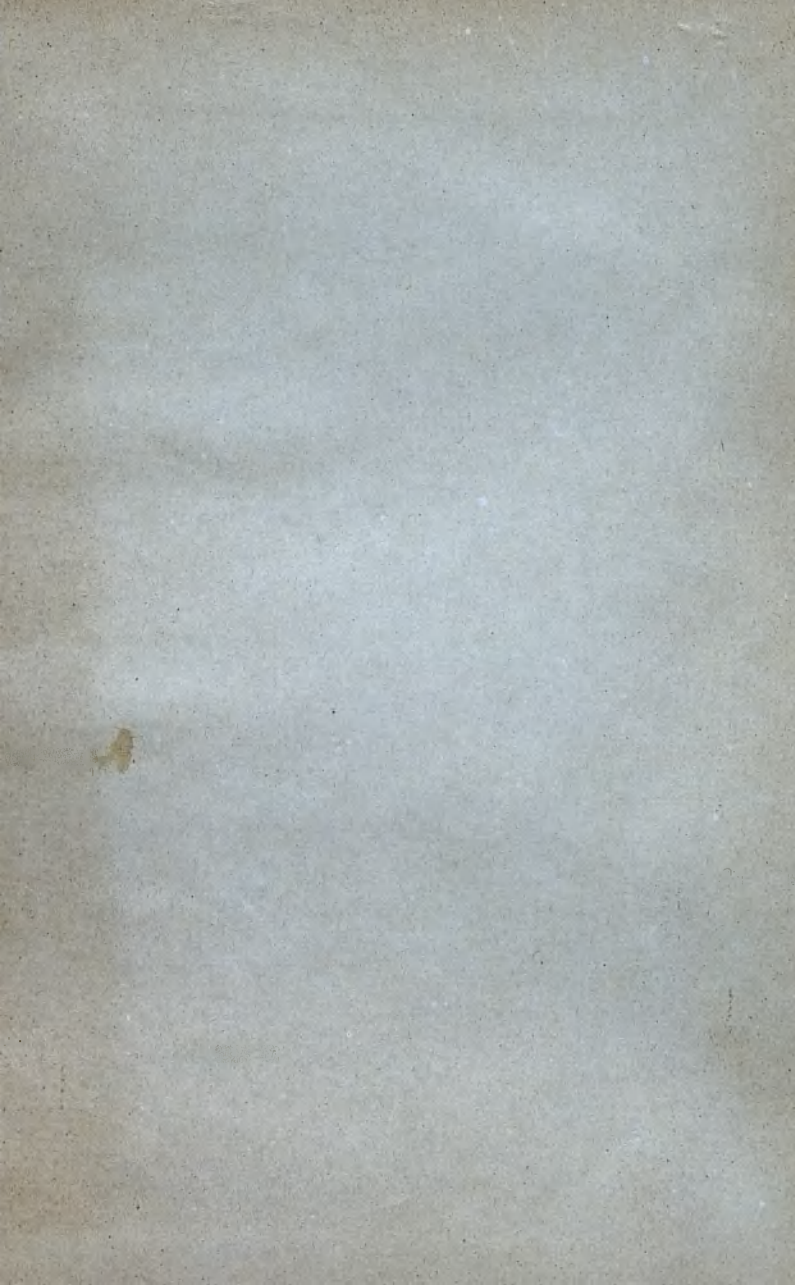
IV. DYALOGI I SZTUKI TEATRALNE.

Trafiła kosa na kamień (2 osoby).....	61
Wschód słońca (3 osoby).	91
Cyganki. Komedyjka <i>P. z L. Wilkońskiej</i> . (9 osób).....	101
Batozek. Komedyjka na tle z życia Kościuszki przez <i>A. Korzeniowskiego</i> . (7 dzieci).....	112
Młodzieniec i dziadek. <i>K. Brodziński</i> . (2 osoby).....	128
Krakowiak <i>N. Żmichowskiej</i> (2 osoby).....	136

V. Z PÓL SŁOWIAŃSKICH I RÓŻNE WIERSZE.

Czechom w dniu otwarcia teatru narodowego. <i>Wł. Betza</i>	131
Nasza moliwta (po rusku). <i>Platon Kostecki</i>	132
Pieśń łązyczna Fiedlera. Tłumaczyła <i>M. Parczewska</i>	133
Boże coś Rosyę (przekład z rosyjskiego).....	134
Na cześć kapłanów polskich.....	135
Samarytanka. <i>Fr. Waliński</i>	137
Ręka w rękę. <i>Fr. Waliński</i>	138
Dwaj mularze. <i>Julian Miłkowski</i>	140
Dziewczę zuch. <i>Igor</i>	141
Pamiętaj o mnie. <i>Alex. Fredro</i>	142
Hymn na przyjęcie ks. Arcybiskupa Stabilewskiego. <i>W. Engestroem</i>	143
Zakłète dzwony. <i>W. Betza</i>	144
Na górze Lecha. <i>Ks. A. Kantecki</i>	146
Na obczyźnie. <i>T. Lenartowicz</i>	146
Papuga i wróbel. <i>K. Gaszyński</i>	147
Godło życia. <i>Pieśń Janusza</i>	149
Nadzieja. <i>R. T</i>	149







DOM
KSIAZKI
DOM

140-

871287 E

XXXXXXXXXXXXXXXXXXXX



I 416374

XX

ANTYKWARNI
KSIĘGARNI

1872 ROKU.

ni Polskiej

WŁADYSŁAWA DYNIEWICZA.

532 NOBLE STREET, CHICAGO, ILL.

SA NA SKŁADZIE:

Arye polskie, zebrane dla polonii w Ameryce przez Władysława Dyniewicza Cena 25c

Bukiet pieśni światowych, w którym się znajdują: piosnki, dumy, arie, krakowiaki, mazury, pieśni miłosne, pasterskie, obyczajowe, towarzyskie, myśliwskie, studenckie, wesole, żartobliwe, wyjątki z oper itd. Cena 30c

Gratuland, oraz pieśni weselne dla młodzieńców i drużbów, zawierają: Zaprośiny na wesele. Oracye weselne. Mowy przed wyjazdem do kościoła i przed ślubem. Powinshawanie drużby przy wyjeździe do kościoła w czasie tańca i przy uczcie. Życzenia w dniu weselnym. Piosneczki weselne. Cena 20c

Krakowiaki, 657 śpiewek ze źródeł etnograficznych i własnych notat zebrał Zygmunt Gloger. Cena 35c

Mazurki, Wyrwały i Dumki pomniejszych ze źródeł etnograficznych i własnych notat zebrał Zygmunt Gloger. Cena 25c

Lirnik polski, zawierający 547 dumek, arii, krakowiaków i piosenek ludowych. W mocnej oprawie. Cena 80c

Piosnki, Dumki i Arye narodowe, w mocnej oprawie. Cena 25c

Orfeusz czyli zbiór najulubieńszych pieśni polskich z melodią i notacją dla męskich głosy. Cena 50c

Trzydzieści pieśni i piosenek dla rzemieślników, a szczególnie dla szewców, kowali, krawców stolarzy, kołodziejów, piekarzy, rzeźników, rybaków, garncarzy, cieślów, murarzy, powoźników, mielarzy itd. z dodatkami pieśni wykazującej za którego rzemieślnika najchętniej byśmy się zabrali. Cena 10c

Wybór pieśni narodowych w którym znajdują się: dumy, arie, mazury, krakowiaki, mazury, pieśni patriotyczne, wojenne, żartobliwe itd. Cena 30c

Zbiór piosenek w których w Księgarni... Cena 10c